

Rok XXIX

Nr e-102 (298)

Kwiecień 2015

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Poklasztorny kościół w Krzyżborze (Grüssau) pod Łañcutem (Landeshut) na Dolnym Szląsku	<i>Tomek Gałwiazek</i>	3
Z Gór Złotyeh w Bialskie	<i>Krzysztof Gdula</i>	5
Południowy cypel Sudetów Środkowych	<i>Bartosz Skowroński</i>	6
Górnictwo w Białym Kamieniu (cz. 4)	<i>Wojciech Tumidajewicz</i>	9
Gubin – łuzycy wążek	<i>Jan Malink, tłum. L. Gajczewska</i>	11
Krzywa Wieża w Ząbkowicach Śląskich	<i>LOT „Księżstwo Świdnicko-Jaworskie”</i>	12

OJCZYSTE SZLAKI

Wycieczki Krajoznawcze	<i>Henryk Breit, opr. Andrzej Rumiński</i>	13
Ciekawostki Dolnej Wisły	<i>Juliusz Wysłouch</i>	16

TRASA MIESIĄCA

Gdzie gromy biją	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	19
------------------	------------------------------	----

GLOBTROTER

Madera (cz. 2)	<i>Elżbieta Lisiecka</i>	21
Po różowych granitach Chikanishing Trail	<i>Mirosław J. Barański</i>	23
Dominikana z transoceanicznych statków	<i>Narodowa Centrala Turystyczna Republiki Dominikańskiej</i>	25
Kijowski skansen	<i>Janusz Fuksa</i>	26

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Koleją w czeskie Karkonosze	<i>LOT „Księżstwo Świdnicko-Jaworskie”</i>	27
Odkryj Iran z Mahan Air	<i>International Media Relations Munich Airport</i>	27
Międzynarodowe Targi Turystyczne Wrocław 2015	<i>Wojciech Radliński</i>	28
Wystawa o Redenach	<i>Krzysztof Tęcza</i>	29
W Górach Sowich na śladówkach	<i>Juliusz Wysłouch</i>	30
Dzieło życia...	<i>Jacek Myszkowski</i>	31
Imprezy na terenie „Księżstwa Świdnicko-Jaworskiego”	<i>LOT „Księżstwo Świdnicko-Jaworskie”</i>	32
Program wycieczek Oddziału Wrocławskiego PTTK		33

PORADNIK TURYSTY

Wystarczy już tej zimy	<i>Juliusz Wysłouch</i>	34
------------------------	-------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Problemy kolekcjonerstwa	<i>Henryk Hadasz</i>	36
--------------------------	----------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

Rocznik Jeleniogórski 2014	<i>Krzysztof Tęcza</i>	37
Herbatka z Sudetów	<i>Zbigniew Piepiora</i>	38

Na okładce: Na biegówkach w Górach Sowich. Fot. Juliusz Wysłouch

Poklasztorny kościół w Krzyżborze (Grüssau) pod Łańcutem (Landeshut) na Dolnym Szląsku

Błędnem byłoby zapatrywanie się, że zupełnie zniemczony Dolny Szląsk dziś tylko ruinami starych piastowskich zamczysk i świątyniami Pańskimi z ubiegłych wieków polskie czasy przypomina. Przeciwnie, i mowa potoczna tutejszych mieszkańców dowodzi, że tu niegdyś był panującym język polski. I tak karczmę (*Dorfkrug*) zowią tutaj kretscham, chałupę (*Dorfhütte*) kalupe, kopiec (*Grenzhügel*) kopitze, cebulę (*Zwiebel*) bula, pieniądze (*Geld*) penundze, dać buzi (*küssen*) bussi geben, itp. I nazwy miejscowości, choć zupełnie przeinaczone, noszą w sobie pierwiastek polski. Mimo to trafiają się nazwy, jak np. *Friedeberg* lub *Löwenberg*, które zdaje się, że albo z góry tak niemieccy koloniści nazwali, albo też później w miejsce polskiej, nie przypominającą wcale polskiego pochodzenia nazwę niemiecką otrzymały. Niestety, ogół mieszkańców Dolnego Szląska tak mało dba o dawniejszą historię ziemi, którą zamieszkuje, że nic a nic nie wie, lub wiedzieć nie chce, o pochodzeniu miejscowości historycznych, kontentując się stereotypową odpowiedzią, że to z czasów piastowskich książąt.

Dopiero stare dokumenta wprowadzają nas w świat wspomnień historycznych, nie dających się wymazać z historii. Z tych dokumentów dowiadujemy się, że słynny poklasztorny kościół *Grüssau* miał czysto polską nazwę Krzyżbórz [Krzeszów]. Słynny ten klasztor ufundowała r. 1242 księżna Anna, małżonka księcia Henryka Pobożnego, a synowie księżny, Bolesław Łysy i Konrad z przydomkiem Paryżanina, pozwolili benedyktynom osadę Łańcut (*Landeshut*) [Kamienna Góra] na prawie niemieckim założyć.

W klasztorze spoczywają zwłoki kilku książąt piastowskich, między innymi Bolesława syna Bolka II, ostatniego księcia na Świdnicy i Jaworze, zmarłego w młodym wieku wskutek uderzenia nieumyślnego kamieniem przez nadwornego błazna Jakuba Thana [właśc. Thau]. Napis łaciński na czarnym marmurze, wmurowanym w kościele krzyżborskim, uwiecznia ten wypadek.

Dnia 23 listopada 1810 r. sekularyzowano klasztor na rzecz państwa pruskiego, a ostatni opat Ildefons Reuschel zmarł tutaj 5 listopada 1823 r.

W pobliskim Łańcutie pobudował książę Bolko I r. 1294 kościół farny. Przywilej z 21 października 1334 r. nadaje Łańcutowi 50 włók ziemi w *Vogelsdorf* i Dolnem Zadrzu [dawny Czadrówek, obecnie w granicach Kamiennej Góry]. W czasie trzydziestoletniej wojny ucierpiał Łańcut wiele tak ze strony Szwedów, jak i wojsk cesarskich. Pod Łańcutem zniósł 23 stycznia 1760 roku w siedmioletniej wojnie



Fasada Złotego Domu – kościoła opackiego

austriacki generał Leudon [właśc. Laudon] korpus pruskiego generała Fouqué do szczytu. Po zajęciu Prus przez wojska napoleońskie, stali tu czas niejaki załogą Francuzi, Sasi i Bawarczycy, ci ostatni pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego. Podczas zawieszenia broni r. 1813, rozłożył się obozem pod Łańcutem korpus rosyjski. Dziesiątego sierpnia odbyła się tu wielka parada przed cesarzem Aleksandrem I i królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem III. W paradzie tej brał udział, jako major dzisiejszy cesarz Niemiec, ówczesny książę Wilhelm.

W Łańcutach był proboszczem późniejszy biskup wrocławski Henryk Foerster i tu się też urodził ojciec tak zwanych praw majowych pruskich, minister Falk.

Łańcut liczy dziś 6697 mieszkańców, przeważnie ewangelickiego wyznania, i jest siedziskiem urzędu ziemiańskiego. Słynie z wyrobów płócienniczych, które niegdyś wielki odbył do Królestwa Polskiego miały. Co miesiąc odbywają się tu znaczne targi na przędzę, na którą przeważnie len z okolicy Rygi sprowadzają.

Źródło: *Poklasztorny kościół w Krzyżborze (Grüssau) pod Łańcutem (Landeshut) na Dolnym Śląsku*, „Tygodnik Ilustrowany”, nr 145, 10.10.1885 r.

Pocysterski zespół klasztorny w Krzeszowie to zespół klasztorny położony w Kotlinie Kamiennogórskiej nad rzeką Zadrną. W 1242 r. księżna Anna, wdowa po poległym na Legnickim Polu ks. Henryku II Pobożnym, ufundowała opactwo benedyktynom sprowadzonym z czeskich Opatovic. W 1291 r. ks. Świdnicki Bolko I Surowy wykupił dobra z rąk benedyktynów i ufundował opactwo cystersom z Henrykowa, którzy zbudowali kościół i klasztor, które z czasem stały się nekropolią Piastów z linii świdnicko-jaworskiej. Pierwotny zespół klasztorny był wzniesiony z drewna. Liczne fundacje, opieka książąt oraz dobra gospodarka sprawiły, że klasztor stał się właścicielem rozległych włości obejmujących 42 wsie oraz miasta: Strzegom, Chełmsko Śląskie i Lubawka. W okresie wojen husyckich klasztor został splądrowany, a zakonnicy zabici. W XV i XVI w. opactwo systematycznie odbudowywano. Kolejne klęski przyniosła wojna trzydziestoletnia. W 1632 r. na klasztor napadli Brandenburczycy, a rok później Szwedzi zniszczyli bibliotekę klasztorną i spalili kościół. W drugiej połowie XVII w., za rządów energicznego opata Bernarda Rosy, klasztor przeżywał lata największej świetności. Przebudowano całość założenia, rozwijano gospodarkę rolną (sadownictwo, ogrodnictwo, uprawa chmielu, winorośli i lnu) oraz założone stawy rybne. W 1810 r. klasztor sekularyzowano, a zbiory biblioteczne przewieziono do Wrocławia i Legnicy. W 1919 r. klasztor przejęli benedyktyni, którzy mieszkali w nim do 1946 r. W tym roku przybyły ze Lwowa benedyktynki, które przejęły klasztor. Obecny zespół jest imponującym barokowym założeniem, w którym wyróżnia się: bazylika MB Łaskawej, Pałac Opatów, kościół św. Józefa, budynek klasztorny oraz Mauzoleum Piastów. Przy realizacji projektu założenia brali udział architekci z otoczenia Kiliana Ignacego Dientzenhoffera, a prace przy wystroju wnętrza realizowali: Ferdynand Maksymilian Brokoff, Jan Brokoff, Georg Wilhelm Neunhertz, F.A. Scheffler i in. W 1998 r. kościół MB Łaskawej otrzymał status Bazyliki Mniejszej p.w. wniebowzięcia NMP.



Chór organowy kościoła św. Józefa

Tomek Gałwiaczek
Fot. Krzysztof R. Mazurski

Z Gór Żłotych w Białskie

Po niedzieli, spędzonej w pokoju na kichaniu i smarkaniu, byłem zdecydowany jechać nawet w pochmurny dzień, nawet deszczowy, oby tylko nie padało zbyt intensywnie; taka też miała być pogoda tego dnia dla Ziemi Kłodzkiej. Ubrałem się ciepło i głęboką nocą, w pół do piątej, wyjechałem na południe. Z głównej drogi w boczną, z tej w boczną boczną, a na końcu świata, w Stroniu Śląskim, okazało się, że są jeszcze bezimienne dróżki, a za końcem świata jest jego ciąg dalszy: Bielice – mała wioska z trzech stron otoczona górami. Koniec drogi, koniec Polski i góry wokół. Bez schronisk, z małą ilością szlaków, i – miałem nadzieję – bez ludzi. Chciałem być sam na sam z górami i z jesienną przyrodą, chciałem pożegnać słoneczną aurę i oswoić się z późnojesiennymi krajobrazami, pogodzić się z nadchodzącym listopadem.

Nim wjechałem między zbocza gór, zobaczyłem obiecujące kolory świtu: wśród granatowych chmur mały fragment nieba świecił złotym blaskiem pomazanym smugami najprawdziwszego, intensywnego różu, ale, gdy u celu wysiadłem z samochodu, szczytów gór już nie widziałem. Szedłem w gęstej mgłę targanej silnym wiatrem, widząc przed sobą tylko kilka najbliższych drzew i kawałeczek ścieżki wśród traw i kamieni; momentalne, gnające z wiatrem, zmiany gęstości mgły czyniły silne wrażenie – jakby mleczne opary ożywały i mijając mnie pędziły gdzieś niczym zjawy. Moja czarna kurtka zmieniała kolor pokrywając się srebrzystym nalotem zatrzymanej mgły



Jesienne kolory w Górach Żłotych



Na Kowadle

– miniaturowymi kropelkami wody, ale trzymała się dzielnie, nie przemokła.

Wszedłem na Kowadło, jedno z najwyższych wzniesień Gór Żłotych, a z niego poszedłem granicą biegnącą szczytami aż do końca szlaku. Gdy ten skręcił na czeską stronę, zrobiłem to, co chciałem, co planowałem i na co cieszyłem się: poszedłem dalej granicą, bez szlaku, od słupka do słupka, prowadzony widoczną ścieżką – znak, że nie tylko ja chciałem zanurzyć się w to leśno-górskie pustkowie. Trudno było zabłądzić, a jednak pojawienie się znaków szlaku po około 10 km wędrówki przywitałem z ulgą – może dlatego, że nareszcie

wiedziałem, gdzie jestem, a byłem pod Rudawcem. Tak przeszedłem z Gór Złotych w Góry Białskie. Wiatr ucichł, mgła znikła i w najgłębszej ciszy mogłem patrzeć na zaśnieżone już białoczarne zbocza Śnieżnika po drugiej stronie przełęczy.

Podobała mi się ta droga, mimo iż buty się zbuntowały przepuszczając wodę: szedłem wśród świerków wynurzających się z mgły, a droga rozwijała się przede mną spokojnie i z nostalgicznym uśmiechem. Droga w ogóle, a górski szlak w szczególności, mają w sobie urok, którego nigdy nie udało mi się do końca zdefiniować. Mam w swoich zbiorach zdjęcia drózek, na które czasami patrzę chcąc... właśnie, nawet tego nie wiem, czy dla wzbudzenia tęsknoty, czy dla jej zaspokojenia, oglądam te zdjęcia. Po prostu widok drogi przede mną sprawia mi dziwną przyjemność, co nie jedyną jest jej kobiecą cechą. Chciałoby się iść przed siebie mając ją za towarzysza, zawsze taką samą i zawsze inną, znaną i nieznaną, a nieodmiennie pociągającą – kusicielkę i czarodziejkę.

Schodziłem w dolinę pięknymi, rozległymi zboczami, a towarzyszył mi strumień podążający w tę samą stronę i nieustannie szmerzący swoje opowieści; szarość skał i ciemną zielenią wysokopięnego boru świerkowego rozjaśniały drzewa w najżywszych kolorach jesieni. Gdy zatrzymywałem się i patrzyłem za siebie, w górę, szeroki i jasny stok góry zdawał się być schodami zikkuratu ze świątynią Natury na szczycie. Im bliżej byłem wioski, tym wolniej szedłem, chcąc odwlec chwilę powrotu...

Wrócę tam. Przejdę całe Góry Złote, znajdę złom kamienny z błyszczącymi drobinami złota i idąc szlakiem będę myślał o ludziach, którzy przez stulecia trudzili się dobywając złoto z tych gór.

Krzysztof Gdula



Na Przeł. Trzech Granic

Południowy cypel Sudetów Środkowych

Podorlická pahorkatina (Pogórze Orlickie) w rejonie Morawskiej Trzebowej, Jevíčka i Velkých Opatovic to najdalej na południe wysunięty fragment Sudetów Środkowych. Ten jej dość wąski kraniec, na sporym odcinku, aż z trzech stron otoczony jest terenami niewchodzącymi w skład Sudetów. Tworzy więc swoisty cypel. Zgodnie z internetowym *Słownikiem języka polskiego* PWN cypel w jednym ze swoich znaczeń to „wysunięta wąska część czegoś”. Oczywiście tym „czymś” są w tym wypadku Sudety. Ich „sąsiadami” stanowią tam Česká tabule (Płyta Czeska) i Česko-moravská subprovincie (Wyżyna Czesko-Morawska). Z Płyty Czeskiej do opisywanego krańca Sudetów przylega tu Svitavská pahorkatina, wchodząca w skład Východočeské tabule. Wyżynę Czesko-Morawską na pograniczu z Sudetami „reprezentuje” zaś Boskovická brázda, wchodząca z kolei w skład Brněnské vrchoviny. Tej samej, w której leży słynna przepaść Macocha. Prawdziwa mozaika krain geograficznych.

Ten fragment Republiki Czeskiej to także mozaika krajobrazów. Niekiedy bardzo efektownych. Takie zobaczy turysta, który znajdzie się w okolicach wspomnianego Jevíčka. Wędrówka wzdłuż szosy wiodącej do Chornic daje okazję podziwiania z dość płaskiej Boskovické brázdy amfiteatralnie wznoszącego się coraz wyżej wału Podorlickiej pahorkatiny, a z drugiej jej strony wyrastających nad nią wzniesień Wierzchowiny Zabrzeskiej oraz Wierzchowiny Drahańskiej. To trochę tak, jakby wędrować



Hušák (626 m) z zielonego szlaku za zabudowaniami Víska u Jevíčka

dzać w dół. A jednak. Tak się składa, że na sporym odcinku granica pomiędzy Podorlicką pahorkatiną a Svitavską pahorkatiną przebiega u podnóża dość wyraźnej krawędzi wzniesień tej ostatniej. Taka sytuacja ma również miejsce u stóp wzniesienia Roh (660 m). Podróżny kursowego autobusu jadącego wspomnianą drogą do Morawskiej Trzebowej może się więc delektować widoczną w oddali po prawej krawędzią tego urwistego wzniesienia. Niejednemu pewnie skojarzy się ono z Górami Stołowymi.

Wrażeń na tym krańcu Sudetów Środkowych dostarczą jednak nie tylko szosy. Godne uwagi jest bowiem i „wnętrze” Podorlickiej pahorkatiny. Pieszy turysta ma tu do dyspozycji kilka szlaków turystycznych. Wśród nich swego rodzaju „magistralą” jest osiemnastokilometrowy szlak zielony łączący Jevíčko z Morawską Trzebową. Wędrując nim mamy okazję wejść na najwyższy szczyt południowego krańca Podorlickiej pahorkatiny – Hušák (626 m). Wzniesienie to jest swoistą dominantą, górującą nad Małą Haną – w istocie małym regionem etnograficznym Moraw. Ze szczytu nie ma żadnych panoram, poza widokiem rosnących wokół drzew. Nieco można wypatrzeć jedynie z przecinki poniżej wierzchołka. Atrakcją Hušáka jest za to mała namiastka Gór Stołowych. Tę turysta odnajdzie również w jego partii wierzchołkowej. Szlak przechodzi tam bowiem przez niewielką wychodnię skalną. Tu i ówdzie rzucają się w oczy dość liczne omszone głazy. Jeżeli ktoś wędruje od strony Jevíčka, zaraz za tym miejscem będzie miał jeszcze jedną okazję do przypomnienia sobie innej z cech Gór Stołowych – ich stromych, na obrzeżach tego pasma, krawędzi. Zielony szlak dość stromo sprowadza tam do duktu leśnego trawersującego zbocze Hušáka. Stromość szlaku śmiało można porównać do stromości szlaku niebieskiego sprowadzającego turystę z rejonu stołowogórskich Skał Puchacza.

Hušák jednak to nie tylko strome zbocza czy wysypiska głazów. Inną ciekawostką jego masywu są dość liczne tu źródła. Chyba najciekawszym z nich jest Holubí studánka. Źródło to, okazale ujęte, zainteresuje wszystkich. Inne, jak nie tak od niej odległa Černá studánka, to obrazowe wręcz przykłady naturalnych wypływów. Woda z tego ostatniego źródła tryska wprost u stóp wyraźnego zbocza tej góry. Do tego z zagłębienia terenu. To jednak niejedyne ciekawe źródła w masywie Hušáka. Niejedyne też na tym krańcu Sudetów Środkowych. Źródła, także sztucznie ujętych, jest tu kilka. Obok wymienionych do interesujących, leżących już poza masywem Hušáka, należy np. studánka V Peckle. Woda wypływa tam z rurki umieszczonej w kamiennym murku. Do wypływu sprowadzają

przez Rów Górnej Nysy, obserwując z jednej strony Masyw Śnieżnika, zaś z drugiej Góry Bystrzyckie. Z goła inne wrażenia pozyska turysta jadący ruchliwą szosą nr E442 na odcinku Koclířov – Morawska Trzebowa. Po wyjechaniu z tunelu, znajdującego się jeszcze na obszarze Płyty Czeskiej, rozpocznie on bowiem zjazd w dół. Tym samym będzie on... (z)wjeżdżał w Sudety. Rzadki to przypadek, by do pasma górskiego zjeź-



Pomnik upamiętniający jeńców radzieckich na zboczu wzniesienia Lišnice (489 m)

małe schody, a tuż powyżej stoi niewielka, domkowa kapliczka, nakryta namiotowym dachem. Dużo mniej okazałe jest źródło Kvíčalka. Woda wypływa tam z rury umiejscowionej w kamiennym obramowaniu. I w zasadzie tyle.

Wędrując „magistralnym” na tym krańcu Sudetów szlakiem zielonym warto jednak odwiedzić wspomniane wypływy. Do jednego z wymienionych prowadzi bowiem *odbočka*, a dwa leżą tuż przy „głównym” szlaku. Trochę zboczyć trzeba jedynie do Černej studánki, ale, jeśli chodzi o to źródło, naprawdę warto.



Černá studánka

Wędrujący wspomnianym zielonym szlakiem turysta natknie się w tych stronach na osobliwy, a zarazem upamiętniający tragiczne wydarzenia z okresu II wojny światowej, obiekt. Mowa o pomniku, a zarazem cmentarzu znajdującym się na zboczu wzniesienia Líšnice (489 m). Pomnik stanowi wysoka, dość smukła kolumna, stojąca na sporym cokole, zwieńczona czerwoną gwiazdą. Duża czerwona gwiazda zbudowana została również w osobliwy sposób na pobliskiej polanie. Całość otacza niski kamienny mur. Kogo upamiętnia ten zespół? W okresie II wojny światowej w pobliżu działał obóz, w którym pracowali jeńcy radzieccy. Zajmowali się budową nigdy nieukończonych drogi ekspresowej lub eksterytorialnej autostrady, mającej połączyć Wrocław z Wiedniem. Ślady tej budowy są jeszcze widoczne w terenie. W latach 1941-1942 w obozie wystąpiła epidemia tyfusu plamistego, zwanego też dudem plamistym. W wyniku zachorowania na tę bardzo groźną chorobę bakteryjną śmierć poniosły tu 143 osoby, pochowane właśnie w tym miejscu.

W zupełnie innej części opisywanego krańca Sudetów Środkowych, powyżej zabudowań Morawskiej Trzebowej na górze zwanej Nad Boršovem (516 m), wzniesiono w 2009 r. okazałą wieżę widokową Pastýřka. Widok z niej jest rewelacyjny. Szczególnie na zabudowania wspomnianego miasta.

Miasto to zaś powinno być obowiązkowym celem każdego turysty odwiedzającego ten fragment Sudetów. W mojej subiektywnej ocenie Morawska Trzebowa jest takim „sudeckim Zamościem”. Skoro mamy „sudeckie trójmiasto”, to czemu nie zaryzykować takiego określenia? Podobnie bowiem, jak o polskim Zamościu mówi się, iż jest „perłą renesansu”, tak i podobną „rolę” w skali Republiki Czeskiej pełni Morawska Trzebowa. Wrażenie robi praktycznie całe stare miasto, czyli rynek oraz wybiegające zeń i otaczające go uliczki. Starówka godna jest zobaczenia zarówno w dzień, jak i w nocy. Zabudowa przy jej wąskich uliczkach, oświetlonych latarniami, sprawia wieczorem niesamowite wrażenie. To jednak nie jedyne miejsca godne w tym mieście uwagi.

Morawską Trzebową warto polecić także niezaintersowanym jej architekturą i historią. Miasto jest świetnym punktem wyjścia do penetracji krańca Sudetów. Posiada niezłe połączenia autobusowe. Te odgrywają tu pierwszoplanową rolę. Dworzec autobusowy leży na obrzeżach centrum, co umożliwia szybkie dotarcie np. do wspomnianego szlaku zielonego. Da się tu jednak dojechać także koleją. Spalinowe pojazdy trakcyjne dowiozą tu z Czeskiej Trzebowej – sporego, dobrze skomunikowanego, węzła kolejowego. Po likwidacji kilku połączeń kolejowych (tak, takie, wprawdzie rzadko, też się zdarzają w Republice Czeskiej) przez pewien czas Morawska Trzebowa pełniła rolę ślepej stacji. W 2014 r. ponownie reaktywowano jednak połączenia do Chornic.

Innymi godnymi polecenia punktami wyjściowymi w opisywany kraniec Podorlickiej pahorkatiny są w szczególności wspomniane już Velké Opatovice i Jevíčko. Miasteczka same w sobie również godne zobaczenia. Mimo iż zasadnicze części tych miast nie leżą w Sudetach, blisko z ich centrów do podnóży Podorlickiej pahorkatiny. A zarówno jedno jak i drugie mają dość dobre połączenia komunikacyjne, które umożliwią penetrację tego mało znanego polskim turystom terenu.

Bartosz Skowroński

Górnictwo w Białym Kamieniu (cz. 4)

Biały Kamień, podobnie jak Wałbrzych, został zajęty przez wojska radzieckie 8.05.1945 r. Przebrana III Rzeszy niemieckiej w II wojnie światowej spowodowała przyłączenie Dolnego Śląska w obręb państwa polskiego. Przez pierwsze dwa miesiące po zajęciu Białego Kamienia przez wojska radzieckie kopalnię zarządzała niemiecka administracja pod nadzorem komendy wojennej Armii Czerwonej. Administracja polska przejęła we władanie kopalnię Dolnośląskiego Zagłębia Węglowego 11.07.1945 r., a wśród nich również kopalnię „Fuchs”, której nazwę zmieniono na „Julia”. Na początku sierpnia 1945 r. Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego (CZPW) okólnikiem nr 64 utworzył Dolnośląskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego. Było to przedsiębiorstwo wielozakładowe, gdzie kopalnie pełniły rolę zakładów produkcyjnych.

Polski zarząd kopalni od razu rozpoczął prace związane z kontynuacją programu modernizacji zakładu górniczego, a przede wszystkim dokończeniem przebudowy urządzeń wyciągowych oraz uruchomieniem zatopionych kopalń „Cesar” (pole Teresa) i Sophie (pole Wojenny), które zostały unieruchomione w okresie międzywojennym. Miesięcznik *Przeгляд Górniczy* w sierpniu (nr 3/45) zamieścił opis kopalń z rejonu Wałbrzycha. Kopalnię „Julia” przedstawiono jako zakład górniczy pozyskujący 4400 t/dobę przy zatrudnieniu 5700 robotników. Do wydobywania urobku służył jedyny czynny szyb wydobywczy *Julia* (do 1945 r. *Julius*) o głębokości 590 m. Szyb posiadał elektryczne maszyny wyciągowe o mocy 1,5 i 1,4 MW. Główny poziom wydobywczy znajdował się na poziomie +50 m. Sortownia i płuczka mogły przerobić 300 t/godz., natomiast flotacja 50 t/godz. Jednocześnie eksploatowano dziesięć pokładów o miąższości od 0,7 do 1,3 m o całkowitej grubości 9,5 m systemem ścianowym na zawał i podsadzkę. Kopalnia posiadała osiem szybów, w tym jeden szyb wydobywczy z urządzeniem wyciągowym posiadającym sześciopiętrowe klatki.

We wrześniu 1945 r. w kopalni „Julia” pracowało 56 Polaków. Od 1.01.1946 r. kopalnia zmieniła znowu swoją nazwę na „Biały Kamień”. Rozpoczętą w okresie II wojny światowej modernizację urządzenia wyciągowego szybu *Sobótka* (do 1945 *Ida*) zakończono w 1947 r. Stalowa wieża została wzmocniona i przystosowana do nowego typu maszyny wyciągowej. W tym samym roku dokończono modernizację zespołu *Jan* (do 1945 *Hans-Heinrich*). Szyb został zaopatrzony w jednozastrzałową stalową wieżę konstrukcji huty *Karol* w Wałbrzychu. Dodatkowo nogi zastrzału zostały wyposażone w odpowiednie korektory, pozwalające korygować wychylenie wieży szybowej na skutek ruchów górotworu, spowodowanych wydobywaniem węgla w filarze ochronnym. Prowadzono prace mające na celu uzyskanie podziemnego połączenia między szybami *Jan* i *Julia*. Drażony chodnik przeznaczony był do transportu urobku i ludzi. W 1949 r. powołano do życia Ministerstwo Górnictwa, które stopniowo przejmowało zadania CZPW,



„Julia” w połowie lat 50. i współcześnie (fot. autora)


jednocześnie ograniczono działalność zjednoczeń; proces ten zakończył się 1.01.1951 r., kiedy kopalnie stały się niezależnymi zakładami w Ministerstwie Górnictwa. Posiadały one samodzielny plan techniczno-przemysłowo-finansowy oraz konta w Narodowym Banku Polskim i Banku Inwestycyjnym. Ze struktur resortu górnictwa wydzielone zostały koksownie.

Od 1.01.1950 r. zarządzeniem Ministerstwa Górnictwa z 22.05.1950 r. kopalnię *Biały Kamień* przemianowano na kopalnię *Maurice Thorez*. W 1953 r. Biały Kamień został przyłączony do Wałbrzycha, a przez to również i kopalnia „Thorez” też znalazła się w granicach tego miasta. Należy zwrócić uwagę, że od 1955 r. miało miejsce pierwsze w Polsce celowe (eksperymentalne) wydobywanie węgla w pokładach przecinających rurę szybową. Eksploatacja odbywała się filarze szybu *Jan*, używając szerokofrontowe wybieranie pokładów z tzw. kostką przyszybową w miejscach krzyżowania się pokładu z rurą szybową. Nie spowodowano zniszczenia szybu mimo spękania i wykruszenia się obudowy. Szyb w wyniku tych prac odchylił się około 2,2 m od pionu. W sumie z filaru ochronnego wyciągnięto na powierzchnię 3,2 mln t węgla. Dawało to w latach 1955-1977 14,8% wydobywania ogólnego kopalni. W 1961 r. uległ likwidacji szyb wentylacyjny „Tytus”. Stacje wentylatorów przeniesiono stąd na drugi szyb wentylacyjny – *Wanda* (dawny *Bismarck*). Rok 1967 przyniósł likwidację kolejnego szybu wentylacyjnego „Wiesław”, jego funkcję przejął *Jan*. Do sieci wentylacyjnej włączony został też pomocniczy szyb wentylacyjny *Ewa*. W 1968 r. została wyłączona z eksploatacji kopalniana elektrownia, zasilająca energią elektryczną państwową sieć energetyczną.

W 1984 r. przy kopalni „Viktoria” rozpoczęto drążenie szybu „Kopernik”, który miał obsługiwać trzy wałbrzyskie kopalnie: *Viktorię*, *Wałbrzych* i *Thorez*. Jego średnica wynosiła 9 m. Szyb miał udostępnić nowe pokłady węgla, zmniejszać podziemny transport, zredukować wydatki eksploatacji. Z krajobrazu Wałbrzycha miały zginąć inne wieże wydobywcze. Inwestycja ta zapewniłaby wałbrzyskim kopalniom łagodne lądowanie, nawet po postawieniu zagłębia w stan likwidacji. Kiedy „Kopernik” osiągnął głębokość 900 m, umożliwił wydobywanie węgla z poziomu -400 m ze wszystkich kopalń. Uzyskano dołowe połączenie z kopalnią „Wałbrzych”, na ukończeniu było połączenie z kopalnią „Thorez”. W 1988 r. prace przy budowie szybu „Kopernik” były w 80% wykonane za kwotę 7,6 mld zł (wg cen z 1988 r.). Pracował on jako szyb wentylacyjny dla kopalń *Victoria* i *Wałbrzych*. Planowano oddanie *Kopernika* do użytku w 1991 r.

Po wyborach w czerwcu 1989 r. rządy w państwie przejęły inne siły polityczne. Dolnośląscy gwar-kowie nie mieli swoich przedstawicieli w Sejmie. Jeszcze w trakcie trwania kampanii wyborczej późniejszy senator prof. Włodzimierz Bojarski nie skrywał własnych zamiarów zlikwidowania Dolnośląskiego Zagłębia Węglowego. Również zagorzałym adwokatem tego pomysłu objawił się przyszły poseł Jan Lityński, a także liczni członkowie w rządach Mazowieckiego i Bieleckiego, którzy odwiedzali Wałbrzych. Kiedy to wyrobisko osiągnęło 1100 m głębokości, roboty nad uzbrojeniem szybu wstrzymano. Zarządzeniem z 29.11.1990 r. minister przemysłu Tadeusz Syryjczyk postawił wałbrzyskie kopalnie: *Viktoria*, *Wałbrzych* i *Thorez*, w stan likwidacji. W 1992 r. próbowano ratować kopalnie, jednak były to tylko działania pozorujące całkowitą likwidację. Szyb *Kopernik* został dyskretnie zasypany. Nie wiadomo nawet, kto podjął taką decyzję – nikt tym się nie chwali i nic dziwnego. Miliardy złotych zostały dosłownie wyrzucone w błoto. W 1993 r. kopalnia została włączona do nowopowstałego przedsiębiorstwa „Wałbrzyskie Kopalnie Węgla Kamiennego”, zakład górniczy „Thorez” powrócił do pierwszej powojennej nazwy „Julia”. Pierwotny termin zakończenia wydobywania zakładu górniczego „Julia” ustalono na 1994 r., jednak był on kilkakrotnie przesuwany. Ostatecznie 20.09.1996 r. kopalnia „Julia” zakończyła eksploatację, a 17.08.1998 r. zakończono likwidację wyrobisk górniczych.

Wojciech Tumidajewicz



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Gubin – łużycki wątek

B było to w 1940 r. Dziadek mój, Jurij Malink, po wygnaniu z parafii w Łazie, pełnił funkcję proboszcza w Gubinie. Dnia 21. stycznia miał odprawiać nabożeństwo w kościele w Gubinie. W kazaniu omawiał przypowieść o robotnikach w winnicy, którą Jezus opowiedział jako przykład nagradzania wedle zasad Bożych.

W przypowieści mowa o tym, co następuje: Właściciel zatrudnił robotników do pracy w winnicy. Jednych przyjął rano, innych po południu, ostatnich zaś na godzinę przed końcem dnia roboczego. Przy wypłacie każdy z nich otrzymał tyle samo. Patrzyli na to krzywo ci, którzy pracowali w winnicy najdłużej znosząc trud i całodzienny upał. Jednemu z nich, który nie był zadowolony z zapłaty, odpowiedział właściciel winnicy między innymi tymi słowami: *Patrzysz zawistnie dlatego, że jestem dobry?* [wg Mat. 20,15: (...) *czy oko twoje jest zawistne dlatego, iż ja jestem dobry?*]

W swoim kazaniu proboszcz Malink podkreślił, że Bóg w Swym królestwie nie nagradza „starej gwardii” w sposób wyjątkowy – czy to św. Augustyn, Marcin Luter albo Friedrich Bodelschwingh. Przed Panem wszyscy są jednacy. W kościele siedział szpicel gestapo, który zapisał zdanie, że „stara gwardia” nie może rościć pretensji do szczególnych praw. Nie spodobało się to ani w gestapo, ani w prokuraturze, ponieważ widziano w tym krytykę rozporządzenia Hitlera, że „stara gwardia” – a stanowili ją członkowie NSDAP, którzy wstąpili do partii w 1933 r. – powinna mieć szczególne względy. Ich zdaniem Malink, znany wróg państwa, znowu krytykuje partię i państwo.

W dniu 2.02.1940 r. mego dziadka aresztowano. Siedział w gubińskim więzieniu, gdzie – według jego słów – przez okres 3 tygodniowego śledztwa aż do zwolnienia – traktowano go należycie. Oskarżenia jednak nie wycofano. Przygotowując się do procesu, Malink przyjął taktykę obronną w oparciu o wywód wykładnię Lutra: „Podana przez Pana [Jezusa] przypowieść ma wskazać na różnicę między Bożym królestwem a królestwem ziemskim.” Stąd wyprowadza on swój sąd: W królestwie Bożym nie ma żadnej „starej gwardii”, która miałaby prawo żądać szczególnych względów albo nagród”.

W dniu 7.11.1940 r. odbył się we Frankfurcie [nad Odrą] proces przeciwko Jurijowi Malinkowi. Niemal cudem Bożym był fakt, że sędziowie oddalili oskarżenie. Następnie szczęśliwie dla się stało, że na krótko przed procesem dziedzic von der Marwitz zaproponował mu probostwo w miejscowości Wulki Rěc, które niezwłocznie przyjął. W niedzielę po zwycięskim procesie odbyło się objęcie parafii, w której mógł działać aż do swej przedwczesnej śmierci w 1942 r.

Kiedy miałem do czynienia z aktami dziadka, natknąłem się na opis tego epizodu z jego życia. Zapamiętałem sobie zdanie, że Bóg nie nagradza „starej gwardii”. Wprawdzie na świecie powinno się nagradzać wedle zasady *Ten, kto wiele dokona, powinien większą nagrodę dostać*. Bóg jednak inaczej ocenia: w winnicy Pana wszyscy otrzymają taką samą nagrodę. Jako do „starej gwardii” Jezus zwraca się przeciw faryzeuszom – jest to trochę rażące, bo [jako kapłani] wzięli na siebie największy ciężar [odpowiedzialności], ale ich trud nie znajduje szczególnego uznania. Powinni być wdzięczni za to szczęście, że od samego początku mogli być obok [Pana], że od razu mogli podążać właściwą drogą i nie doznali w życiu wypadku



W tym kościele w Gubinie głosił Jurij Malink w styczniu 1940 r. kazanie o robotnikach w królestwie Bożym. W 1945 r. został on spalony. Obecnie towarzystwo ochrony zabytków stara się o odbudowę kościoła, znajdującego się w polskiej części miasta. Fot. Krzysztof R. Mazurski

czy katastrofy. Nie mogą jednak oczekiwać szczególnego podziękowania. W ewangelii Jezusowi chodzi również o tych, którzy nie mają się tak dobrze, jak owa „stara gwardia”.

Jan Malink

Pomhaj Bóh 2015 č. 2

Z górnołużyckiego tłum. Ludmiła Gajczewska

Od Redakcji: Ks. Jan Malink jest lużyckim superintendentem – odpowiednik biskupa, w Budziszynie dla górnołużyckiego luterańskiego Kościoła ewangelickiego.

Krzywa Wieża w Ząbkowicach Śląskich

Tym razem zabieramy się na wycieczkę do Ząbkowic Śląskich, gdzie możemy zobaczyć nietypową budowlę, której odchylenie od pionu wynosi ponad 2 m. Krzywa Wieża, bo o niej jest mowa, stanowi najprawdopodobniej pozostałość dawnego zamku, który istniał tu jeszcze przed lokacją miasta, lub też po prostu została zbudowana jako miejska dzwonnica. Taką rolę pełniła zresztą od XV w. aż do czasów II wojny światowej.

W 1858 r., podczas wielkiego pożaru miasta, górna część wieży uległa zniszczeniu. Po dokonanej odbudowie, która trwała do 11.10.1860 r., otrzymała ona zwieńczenie w kształcie jaskółczych ogonów, a jej wysokość od tej pory wynosi 34 m. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego wieża uległa pochyleniu. Powszechnie uważa się, że przyczyną mogły być wstrząsy tektoniczne, które odnotowano 15.09.1590 r. Nie wyklucza się również, że przyczyną było rozmoknięcie gruntu, które spowodowało osiadanie fundamentu. Istnieje także legenda opowiadająca o wydarzeniach z 1858 r., kiedy po wielkim pożarze miasta wykonano ekspertyzę fundamentów. Na podstawie przeprowadzonych badań stwierdzono bowiem, że wieża od początku mogła zostać zbudowana pochylona. Ot, taka fantazja budowniczych, którzy chcieli, by Ząbkowice posiadały wyjątkową i niepowtarzalną budowlę. Obecnie odchylenie wieży od pionu wynosi 2,12 m. Warto dodać, że podczas pomiarów dokonanych w 1977 r. stwierdzono, że odchylenie wynosi 1,98 m. Dziś Krzywa Wieża pełni funkcję punktu widokowego. Szczegóły dotyczące Krzywej Wieży znajdują się na www.krzywawieza.eu. Oczywiście na Krzywej Wieży nie kończą się atrakcje Ząbkowic. Polecamy wykupienie całego pakietu, w skład którego wchodzi zwiedzanie:

Krzywej Wieży, Zamku, Izby Pamiątek Regionalnych oraz Laboratorium Frankensteina. **Krzywa Wieża**, ul. Krzywa 1, 57-200 Ząbkowice Śląskie, tel. 74-815-20-43, **godziny otwarcia:** IV-X – codziennie 9-18, XI-III – od wtorku do niedzieli 9-17, **bilety:** 6/3 zł, www.krzywawieza.eu.

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”



Fot. krzywawieza.eu



Wycieczki krajoznawcze

Wiadomo, jak wielkie znaczenie w wychowaniu obywatela ma poznanie przez niego kraju rodzinnego. Bo zasadniczym warunkiem należytego spełnienia obowiązków obywatelskich jest miłość Ojczyzny. A nie można kochać czegoś, czego się nie zna. Organizowanie wycieczek krajoznawczych uważać zatem trzeba za konieczność państwową i społeczną. Aby jednak osiągnąć zamierzony cel, nie marnując wysiłku materialnego i moralnego, konieczna jest doskonała organizacja. Uwagi moje, które będą treścią niniejszej pogadanki, zastosować można w ogólnych zarysach do wszelkich wycieczek krajoznawczych, odnoszą się jednak w szczególności do wycieczek zwiedzających miasta, gdzie chodzi o poznanie kultury kraju, mniej zaś do wycieczek o charakterze sportowym czysto czy też krajoznawczych w znaczeniu poznania jego geografii. Omawiam ten rodzaj wycieczek dlatego, że od kilkunastu lat już zajmuję się z ramienia Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa przyjmowaniem i oprowadzaniem po mieście przybywających do Lwowa wycieczek. Zebrałem też w tym czasie sporo dodatnich i ujemnych doświadczeń, którymi chcę się z Państwem podzielić.

Najczęstszy jest typ wycieczki dorywczo skleconej, której kierownik do ostatniej chwili nie wie, ile osób w niej weźmie udział, kiedy nastąpi odjazd, a kiedy powrót wycieczki. Kwatery i prowiant nie są z góry zamawiane. Kierownik zgłasza wycieczkę dopiero po przybyciu na miejsce, żądając przydzielenia kwatery, przewodnika itp. Co zwykle dzięki dobrej woli gospodarzy da się jeszcze uskutecznić, powodując jednak z reguły znacznie większe koszty, obciążające nadmiernie budżet wycieczki. Tego wszystkiego można by uniknąć, gdyby wycieczka była na czas zgłoszona. Potem nawet taki kierownik wycieczki, który zna miasto, np.: dlatego że kiedyś w nim studiował, układa zwykle program zwiedzania fałszywie, przeciążając uczestników lub pomijając, co gorsza, ważne obiekty. Nie wystarczy poza tym podać tylko nazwę jakiegoś budynku, trzeba umieć powiedzieć o nim coś więcej. Nieodpowiednie też jest odczytywanie objaśnień z przewodnika. Należyte wrażenie robi tu tylko słowo żywe, wypowiedziane przez należycie przygotowanego przewodnika, obojętnie czy zawodowego, czy amatora znającego doskonale stosunki miejscowe i odczuwającego ducha swego miasta. Poza tym zwiedzanie powinno dać nie tylko materialną korzyść przez mniej lub więcej dokładne poznanie szeregu zjawisk, lecz, jak już wspomniałem, powinno przede wszystkim wychowywać, dokształcając równocześnie, rozszerzając zakres wiadomości zwiedzającego.

Jak więc z jednej strony uniknąć błędów organizacyjnych, a z drugiej uzyskać maksimum osiągalnych korzyści? Przejdźmy cały proces organizowania wycieczki. Winno ono być zarówno materialne, jak i rzeczowe. Przygotowanie materialne ograniczyć się może do zebrania odpowiednich składek pieniężnych w przeddzień wyjazdu, może jednak wymagać dłuższych przygotowań. Konieczne jest to szczególnie, gdy mamy do czynienia z elementem uboższym. Zakorzeniło się



Rynek. Czarna Kamienica

powszechne mniemanie, że podróżować mogą tylko ludzie bogaci. Przy należytej organizacji mogą jednak urządzić wycieczki krajoznawcze nawet najbiedniejsi. Były u nas wycieczki złożone z młodzieży szkolnej, która w ciągu całego roku szkolnego składała na ręce kierownika drobne datki miesięczne, zupełnie nieobciążające budżetów rodziców, a uskładana w ten sposób suma wymagała już tylko nieznacznego uzupełnienia przed wyjazdem. Można sobie zresztą dopomagać przez urządzanie przedstawień lub innych imprez dochodowych. Trzeba oczywiście z góry obliczyć wszystkie koszty, zasięgając informacji na miejscu. Uzyskać je



Pierwotne Ossolineum

można za pośrednictwem Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa, którego sekretariat mieści się w Muzeum Historycznym Miasta Lwowa, Rynek 14, Towarzystwa Krajoznawczego, Towarzystwa Szkoły Ludowej i innych pokrewnych organizacji, wreszcie za pośrednictwem przedsiębiorstw podróży, jak Orbis, Frankpol itp. Należy podać, jakie są szczególne zainteresowania uczestników wycieczki, czy wycieczka ma jakiś specjalny cel. Zgłoszenie musi być uskutecznione na tyle wcześniej, aby był czas na poczynienie odpowiednich przygotowań i porozumienie się w razie potrzeby co do innego terminu przyjazdu wycieczki. Równoległe z tym prowadzić należy przygotowania rzeczowe wśród uczestników, polegające na powierzchownym zapoznaniu ich z historią, ze znaczeniem kulturowym oraz topografią miasta, które mają zwiedzać, przy pomocy specjalnej lektury lub – jeszcze lepiej – pogadank z przeźrocami, które wypożyczyć można w Towarzystwie Szkoły Ludowej we Lwowie, ul. Czarnieckiego. Wskazane jest także czasem zapoznać uczestników wycieczki z elementami wiedzy o sztuce, architekturze itp.

Wygłoszone tu uwagi odnoszą się zarówno do Lwowa, jak i do innych większych miast Polski. W dalszym ciągu jednak dzisiejszej pogadanki chciałbym państwu powiedzieć słowa kilka specjalnie, że aby coś ciekawego zobaczyć, nie trzeba daleko podróżować, ale wystarczy uważnie rozejrzeć się dokoła.

Cóż można we Lwowie zobaczyć?

Pod względem geograficznym i geologicznym jest Lwów i jego okolica typowym obszarem przejściowym, leży bowiem na pograniczu między płaskim stepowym Podolem a nizinnym i lesistym dorzeczem Bugu, na europejskim dziale wód, pomiędzy morzem Bałtyckim i Czarnym, na wybrzeżu morza, które przed milionami lat olbrzymią część Europy zalewało. W czasach historycznych leżał Lwów na rubieżach kultury Zachodu, stanowił i stanowi konglomerat różnych narodowości, których odrębna i oryginalna kultura wyraziła się kamiennym słowem murów gotyku żydowskich i karaimskich, wreszcie wykwiintnym i szlachetnym kształtem włoskiego renesansu.

W zakresie malarstwa i rzeźby znajdziecie tu, prócz naiwnie prostych tworów średniowiecznych artystów-rzemieślników, dzieła najsłynniejszych polskich i obcych malarzy, że wspomnę z obcych tylko Tycjana, Baciarellego, Canaletta i Thorwaldsena, z dzieł naszych zaś mistrzów – *Śluby Jana Kazimierza* i *Unię Lubelską* Jana Matejki, *Wojnę* i szereg innych dzieł Artura Grottgera, *Panoramę Raclawicką* Wojciecha Kossaka i Jana Styki, obrazy Orłowskiego i Juliusza Kossaka, Brandta, Chełmońskiego, Fałata, Malczewskiego, Axentowicza, Rozwadowskiego, Batowskiego, Harasimowicza i słynne w całej Polsce malowidła ścienne Jana Henryka Rosena. Z zabytków architektury zasługują na uwagę przede wszystkim romański kościółek św. Jana Chrzciciela, współczesna mu tradycją cerkiew św. Mikołaja, gotycka katedra łacińska i współcześnie z nią budowana ormiańska, wreszcie cały szereg renesansowych kościołów, jak kościół Bernardynów i Benedyktynek, kaplic, kamienic

i bożnic, a zwłaszcza wspaniałe gmachy późnobarokowe kościoła OO. Dominikanów i cerkwi archikatedralnej św. Jura.

Muzea Lwowskie zawierają wiele ogromnie wartościowych rzeczy z zakresu dziejów przedhistorycznych, historii miasta i państwa, historii kultury i sztuki, wiele cennych pamiątek narodowych, bogate zbiory przyrodnicze i etnograficzne. Biblioteka Uniwersytecka i Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich zaliczają się do rzędu największych i najbogatszych w Polsce; odbywające się tu Targi Wschodnie podtrzymują godnie odwieczną tradycję handlową Lwowa. Wielkie zakłady przemysłowe miejskie i prywatne budują gmach jego dobrobytu, a wzorowe urządzenia społeczne i na wysokim poziomie stojące uczelnie świadczą o wielkiej jego kulturze. O żywotności miasta mówią rosnące wciąż nowe dzielnice i gmachy.

Przybywajcie więc do Lwowa, bo znajdziecie tu zaspokojenie waszego głodu wiedzy, przybywajcie, by nauczyć się od tego miasta kresowego, jak walczyć i pracować dla swojej Ojczyzny, jak budować gmach kultury i bronić go zarazem. Uczcie się z jego dziejów, jak przy wielkiej różnorodności elementów narodowych i kulturalnych, które się zawsze na jego ludność składały, przy stałym napływie elementów obcych i wrogich (myślę tu o Niemcach po pierwszym rozbiórce Polski) zasłużyć sobie na zaszczytny przydomek „Leopolis Semper Fidelis” – Miasta Zawsze Wiernego. A przybywajcie wszyscy pozbywszy się starych uprzedzeń, Polacy i Rusini, Niemcy, Ormianie i Żydzi, byśmy mogli wzajemnie poznać swą kulturę i na tej podstawie pracować w zgodzie i we wzajemnym zrozumieniu dla dobra Rzeczypospolitej.

Na zakończenie apel do lwowian – nie zwiedzajcie tylko tych miast, do których przybywacie z dalekiej podróży, starajcie się poznać bliżej i lepiej własny swój gród, a przekonacie się, że znajduje się w nim wiele ciekawych i pięknych rzeczy, o których istnieniu nie mieliście pojęcia. Zwiedzajcie miasto pojedynczo lub grupami złożonymi ze znajomych lub kolegów, my chętnie służyć wam będziemy wskazówkami i pomocą. Zwracajcie się do Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa. Przybywajcie zatem z daleka i z bliska, czekamy na was z otwartymi ramionami. Przybywajcie i zwiedzajcie nasz gród, starajcie się poznać jego dzieje i życie dnia dzisiejszego, a zrozumiecie, dlaczego my – lwowianie tak bardzo nasze miasto kochamy. A wtedy serca wasze odpowiedzą na pytanie, jakie stawia na początku swego pięknego wiersza pt. *Lwów* Mieczysław Opalek:

*Miasto wież dumnych i zielonych wzgórz,
Powiedz nam miasto, jak to się stało,
Żeś ty jest dla nas jak upojna kruż
I nasze serca łatwo zwojowało?
Żywot twój ciężki nie płynie wśród róż,
Z dawnych splendorów wiele poszarzało,
A przecie, przecie, miłe brzmienie... Lwów
Jest dla nas jednym z najpiękniejszych słów...*

Audycja Radia Lwów, lata międzywojenne. Tytuł autorski: „Organizacja wycieczek krajoznawczych”.

Henryk Breit
Fot. Krzysztof R. Mazurski



Katedra św. Jura

HENRYK BREIT (ur. 1906 we Lwowie) ukończył studia polonistyczne na UJK, tam też uzyskał tytuł doktora filologii. Pracował jako nauczyciel najpierw w Stanisławowie, potem w XI Państwowym Gimnazjum we Lwowie. Aktywny członek i sekretarz Towarzystwa Miłośników Historii Lwowa. Jako przewodnik po mieście oprowadzał oficjalnych gości, także w języku niemieckim, co opisał w broszurze *Ze wspomnień przewodnika*. Opracowywał i wygłaszał w Radiu Lwów audycje na tematy lwowskie i huculskie, nakręcił film o Huculszczyźnie (zaginiony). Pisał na tematy zawodowe, przewodnik po Lwowie, zostawił próby literackie. Aresztowany przez Niemców, zginął w 1941 r. w więzieniu stanisławowskim. Okoliczności i data śmierci nieznane.

Całość opracował
Andrzej Rumiński

Coś nie tylko dla rowerzystów

Ciekawostki Dolnej Wisły

Prezentowałem już kiedyś w NS osobliwość krajoznawczą, jaką jest jaskinia. Bajka (I i II) znajdująca się niedaleko Bydgoszczy, raptem 2 km od granic dzielnicy Fordon. Zaglądam tam ostatnio dość często, ostatnio w lipcu ub. roku i dwukrotnie w lutym 2015. Lipcowy wypad zrobiłem gnany ciekawością, czy i co zmieniło się przez kilka minionych lat, czy nie została zaśmiecona, jak się mają nacieki w sąsiedniej Bajce II. W lipcu pojechałem na rowerze robiąc pętlę 100 km z Torunia przez Fordon do jaskini, potem wracając do Fordonu i dalej przez Ostromecko (woda mineralna i zespół pałacowo-parkowy, koncerty), Dąbrowę Chełmińską i Unisław do Torunia. Za mostem w Fordonie złapała mnie burza i ulewa, przeto w pobliżu jaskini (Strzelce Dolne – „zagłębienie” śliwkowe) dotarłem niemal całkowicie mokry.

Z asfaltowej szosy szutrową drogą pod górę w kierunku Gądeczka w kilkanaście minut dochodzi się, w kilka zaś dojeżdża na rowerze do miejsca, z którego trzeba dostać się na dno parowu (Gądeczki Jar) i wspiąć na taras w przeciwnym zboczu, gdzie mieści się Bajka I i II. Nie muszę dodawać, jak wygląda strome gruntowe zbocze w czasie ulewy. Zsunąłem się wraz z rowerem na dno parowu i podjąłem próbę podejścia na taras po osuwającym się podłożu i pokonując kilka powalonych drzew z moim „góralem” na plecach. Wysiłek się opłacił i niemożliwie ubłocony dotarłem do skalnej wychodni z dwiema dziurami. Kilka minut zabawiłem w jaskini robiąc zdjęcia, potem – chcąc uniknąć ponownego pokonywania zboczy parowu, poszedłem wąską ścieżynką trawersującą zachodnie zbocze do miejsca, gdzie miało być nieco łatwiej dostać się na drogę. Łatwiej nie było, tylko nieco mniejsze wysokości do pokonania. Jeszcze podczas deszczu zjechałem na szosę, co skutkowało umyciem roweru z błota, po czym przez wspomniany Fordon pojechałem w kierunku Unisławia przez Ostromecko, Nowy Dwór i Gzin. Przy okazji obejrzałem kończącą się wtedy budowę drogi rowerowej, łączącej dziś Ostromecko z Unisławiem i Toruniem. **W Nowym Dworze warto zatrzymać się na chwilę obok ciekawego budynku**



Środkowa część Parowu Cieleczyńskiego

folwarcznego będącego kopią z XIX w. typowego zamku krzyżackiego, tyle że pozbawionego dwóch kondygnacji. Ot, taki zamek, z którego wycięto dwa środkowe piętra. Dalej, w okolicach Unisławia zbliżamy się znowu do krawędzi Pradoliny Wisły. Warto zjechać w bok i pójść do Wąwozu Gzińskiego. To jeden z najciekawszych i najgłębszych wąwozów po prawej stronie Wisły. Jadąc dalej w kierunku Chełmna znajdziemy ciekawe **urwiska góry zamkowej w Unisławiu**, a dalej **rezerwat Zbocza Płutowskie**, odwiedzany przez turystów zwłaszcza wiosną w porze kwitnienia wielu gatunków roślin ciepłolubnych.



Gądecki Jar

Wróćmy do lewej strony Wisły i jaskini Bajka. Obok Bajki I jest Bajka II, dużo mniejsza, ale szczególnie ciekawa ze względu na czynne nacieki. Wejść można tylko do początku komory, aby nie zniszczyć tychże nacieków. Jest tam miniaturowe „pole ryżowe” i dwa inne. Jeden, intensywnie żółty, przypomina gniazdo szerszeni, drugi placek z jabłkami pokryty cukrową polewą. Co jeszcze ciekawego znajdziemy w pobliżu? Niewątpliwie godnym wysiłku każdego turysty jest Parów Cieleżyński, jeden z najdłuższych, jeśli nie najdłuższy w okolicy, wcinający się kilka kilometrów od brzegu Pradoliny na zachód. Można tam dojechać szosą Strzelce Dolne (grodzisko) – Trzęsacz (serpentyna) – Kozielec – Grabowo (serpentyna) – Grabówko. Wspomniane serpentyny są często odwiedzane przez amatorów kolarstwa. Podjazdy niemal jak na Salmopol, a i zjazdy „mrozzące krew w żyłkach”. Na zjazdach wspaniałe widoki na Wisłę leżącą 60 m niżej. Na wiślanej skarpie w Kozielcu wytyczono ciekawą ścieżkę dydaktyczną wartą fатыgi pieszego turysty. Zresztą od ostatnich zabudowań Fordonu przez Strzelce, Gądecz, Trzeciewiec, Kozielec i dalej ku północy do Topolna (grodzisko, wąwóz) ciągnie się kilkanaście kilometrów wał wzgórz przecinanych wąwozami, dolinkami, potokami. W Grabowie mijamy ciekawe zabudowania podworskie (później PGR, dziś czynne gospodarstwo rolne), w tym duży dwór mieszkalny i zespół zabudowań gospodarskich.

Początek parowu wyznacza mostek na szosie (niebieskie barierki) nad strumieniem i samotne gospodarstwo po lewej (ule). Przy szosie tablica informacyjna. **Przejście parowem** jest możliwe jedną lub wieloma niskimi ścieżkami, czasem pojawia się jakaś nieużywana i zanikająca nagle droga. Stromymi zboczami wiodą liczne zwieryjące ścieżynki. Spotkać tu można sarny i ślady bytowania dzików: buchtowiska i wyleżyska, jest też zalew i tama zbudowana przez bobry na Strudze Niewieścińskiej. Parów ma liczne boczne odnogi, na zboczach



Wejście do Bajki I latem



Autor w otworze Bajki I



„Gniazdo szerszenia” w Bajce II

osuwiska, nawet jeden stromy i urwisty żleb. W jednej z bocznych odnóg znajdują się wychodnie skalne zlepieńca – piaskowca, w tym jedna objęta ochroną jako pomnik przyrody nieożywionej. Widoczna skała ma 15 m szerokości i kilka wysokości. Nosi nazwę Okap Cieleczyński i zaliczana jest w poczet jaskiń i schronisk skalnych w regionie. Najlepszą porą do penetracji parowu jest zima. Wtedy najwięcej widać, no i można w miarę swobodnie iść. Od późnej wiosny do wczesnej jesieni bujna roślinność skutecznie broni dostępu, zwłaszcza do bocznych dolinek i wąwozów. Poza tym, zimą mróz ścina podmokłe dno parowu, co pozwala na przekraczanie go w poprzek w kilku miejscach. Latem można tam zostawić buty grzęznąc po kolana w błocie. Najciekawsza część parowu liczy około 4 km długości w linii prostej, zatem trasa wycieczki wraz z wypadami w boczne odgałęzienia może mieć 8 do 10 km. Parów Cieleczyński jest doskonale uwidoczniiony na zdjęciu satelitarnym serwisu Google. Planowane jest objęcie całego parowu ochroną rezerwatową jako jednego z elementów Zespołu Parków Krajobrazowych Dolnej Wisły. Z tymi i innymi atrakcjami regionu można się wstępnie zapoznać odwiedzając stronę

www.nasze.kujawsko-pomorskie.pl

Juliusz Wystouch

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Gdzie gromy biją...

Na szczęście, nie tak znów często i groźnie jak na Giewoncie, więc odbywa się bez śmiertelnych ofiar. Pójdziemy na Gromnik (393 m), najwyższe wzniesienie Wzgórz Strzelińskich, zaliczanych do Przedgórza Sudeckiego. Wycieczka łagodna, w sam raz na pół dnia – latem leśna osłona przed słońcem, jesienią – przed dokuczliwymi wiatrami. Tylko końcówka stroma, ale krótka. Sympatyczna trasa z atrakcjami na szczycie. Na Gromnik, który, być może, była jakimś miejscem kultu przedhistorycznego, wiedzie kilka szlaków. Na ogół „zdobywa się” go od zachodu, od tej bowiem strony dojeżdżają wrocławianie, świdniczanie czy dzierzoniowianie, ale i od wschodu wiedzie kilka interesujących szlaków, w tym i rowerowych.

Ruszamy tedy z Jegłowej – niedużej wsi między Strzelinem a Przewornem, dokąd można dotrzeć samochodem czy rowerem, ewentualnie jeżdżącym z rzadka autobusem ze Strzelina. Po



obejrzeniu krzyża pokutnego, umieszczonego w murze poniżej neogotyckiego, kamiennego kościoła, ruszamy na południe i zaraz natrafiamy na początek szlaku, którym będziemy iść cały czas. Skręt w prawo i wkrótce asfaltowana ulica kończy się, przechodząc w gruntową drogę – bywa błotnista. Stopniowo zbliżamy się do lasu, okrywającego niepozorny stąd grzbiet Wzgórz Strzelińskich, i zaraz po wejściu doń ostry skręt w lewo (30 min), dołącza z prawej szlak niebieski Przeworno – Biały Kościół przecinający w poprzek te wzniesienia. Po 10 min zmiana sytuacji – on prosto, my w prawo na dużym skrzyżowaniu, ciągle po niemal płaskiej leśnej drodze. Po kolejnych 30 min na jej skręcie w prawo kierujemy się prosto nieco zarośniętą dróżką lekko do góry, która zaraz znów się wypłaszcza. Przez dłuższy czas szlak wiedzie wzdłuż dość głębokiego wądołu (z prawej), by wejść na stromą ścieżkę (1.20 godz.). Tylko 20 min i spotkanie

ze szlakiem czerwonym, który biegnie grzbietem Wzgórz. Razem z nim w lewo i już rzeczywiście stromo do góry, ku prześwietlającej na szczycie Gromnika wieży widokowej, gdzie stajemy po 2 godz.

Na rozkopanej powierzchni płaskiego szczytu widać ślady prac archeologicznych (wkopy), odsłonięte fragmenty murów i fundamentów. W czasach przedhistorycznych był tu jakiś gródek, w 1439 r. powstał zameczek, w którym „zagnieździł się” rycerze-rozbójnicy von Czirn. Po kilkukrotnych zniszczeniach i odbudowach obiekt unicestwiono w 1482 r. tak dokładnie, że dopiero niedawno wrocławscy badacze odkopali jego resztki. Jeden fragment wzbudził szczególne zainteresowanie ze względu na swoją formę. Powstało przypuszczenie, iż była to wczesnochrześcijańska (na tym terenie) rotunda z końca IX w. Inne interpretacje mówią o donżonie zamkowych, jeszcze inne sugerują, że to fundamenty solidnej wieży widokowej z XIX w., przy której czynna była popularna restauracja. W 2012 r. wzniesiono wieżę widokową w konstrukcji ryglowej, wzbudzając śmiech w całej Polsce, bowiem nie jest ona wyższa od sąsiednich drzew. I rzeczywiście – widoki z niej nader ograniczone. Najlepiej widać południowo-wschodnie podnóże Wzgórz oraz Góry Sowie i nawet Karkonosze, o ile nie ma liści. Są tu ławki, także miejsce na ognisko.

Opuszczamy wierzchołek przez imitację drewnianej bramy i kierujemy się łagodnie za zn. zielonymi i żółtymi, potem tylko tymi drugimi. Po 35 min osiągamy lepszą drogę u zbiegu z innymi. Za chwilę miejsce odpoczynkowe z niedużym parkingiem (dojazd od Krzywiny) i tablicami informacyjnymi, skąd ograniczone widoki. Następne 20 min i krótko skrajem pola, skąd skromna panorama w stronę Przeworna, i znów w lesie. Tu na krótko spotykamy wcześniej wspomniany szlak niebieski. Mijamy z lewej rozległy kamieniołom łupku kwarcowego, szczególnie malowniczo prezentujący się w dolnej,



czynnej części. Górna wypełniona jest wodą, a skarpy porośnięte drzewami i krzakami. Niebezpiecznie! I zaraz niezbyt ruchliwa szosa (2 godz.) Strzeżelin – Przeworno. W prawo 600 m do Krzywiny, w lewo – 1700 m do Jegłowej, w sumie więc wycieczka zajmie wolnym rytmem 4.20 godz., a cały wypad z okolicznych miast – pół dnia. Warto!

**Krzysztof R.
Mazurski**

Madera (cz. 2)

Z Monte zjechaliśmy toboganami – to maderski patent, rodzaj wiklinowych koszy-sań na drewnianych płozach, sterowanych przez dwóch „kierowców” w maderskich kapelusiakach, ubranych w białe spodnie i koszule, którzy odpychając się i hamując butami w odpowiednich miejscach zjeżdżają w dół z zawrotną prędkością! Podobno Ernest Hemingway, po zjeździe toboganem z Monte, opisał swoje wrażenie z tego zjazdu jako „najbardziej ekscytujące doświadczenie w jego życiu”. Dziś to już atrakcja czysto turystyczna, ale nie zawsze tak było. Kiedyś, dawno temu, gdy samochody były jeszcze rzadkością, a kolejka na Monte nie istniała, zjazd konnym wozem z takiej stromizny byłby wręcz samobójstwem – wymyślono więc, niejako z konieczności, takie sianie, które okazały się genialnym wynalazkiem. Mieszkańcy przez wiele lat korzystali z tego środka lokomocji. W sercu miasta stoi katedra; od tego miejsca zaczyna się główna aleja: Avenida Arriaga – piękna, szeroka, malowniczy przykład *calcateros* – chodników z dekoracyjnej mozaiki ułożonej w fantazyjne wzory z różnobarwnych kostek bazaltowych. Inne uliczki w głębi miasta zbudowane są z małych kamyczków, więc chodzenie na szpilkach musi być nie lada wyczynem i ogromną niewygodą. Aleja obsadzona jest platanami i jacarandami, które wiosną zapewniają spektakularny widok – to bajkowe drzewa obsypane pięknymi liliowymi kwiatami. Wspaniałe drzewa, szkoda, że w naszym klimacie nie mogą rosnąć. Krok stąd znajduje się nadmorski bulwar. Idąc nim dotrzemy do pięknego i gwarne Starego Miasta – kiedyś ubogiej dzielnicy, dziś to miejsce wypełnione jest kawiarniami, restauracjami i sklepikami z pamiątkami wśród pięknych kamieniczek, a turystów jest tu nie mniej niż mieszkańców.

Będąc w Funchal nie można pominąć gwarne i niezwykle barwne *Mercado Dos Laveadores* – to rodzaj zadaszane targu owocowo-kwiatowo-rybne, mieszczące się w ciekawym, secesyjnym budynku z lat 30. XX w. Wnętrze tworzy rodzaj patio, gdzie sprzedawcy kwiatów, warzyw i owoców kuszą odwiedzających egzotycznymi, kolorowymi kwiatami i owocami o dziwnie brzmiących nazwach i niespotykanym wyglądem i smaku. Świeże ryby sprzedaje się tu wprost z marmurowych blatów, na których odbywają się sceny istic z horrorów!!! Ryby są tu filetowane ostrymi nożami na oczach kupujących, a wszystkie w leżącej się, krwistej scenerii na białych fartuchach sprzedawców, scenerii, która u niektórych co bardziej wrażliwych może spowodować odrażające wrażenie. Króluje oczywiście miejscowa specjalność – głębinowa ryba o upiornym wyglądzie: słynna *espada* – występująca tylko w dwóch miejscach na Ziemi – na wodach wokół Madery i u wybrzeży południowych wysp Japonii. To czarna, połyskująca ryba wyglądem przypominająca węgorza, jednakże z ogromnymi, przerażającymi oczami i wielkimi ostrymi zębiskami (natura wyposażyła ją w ten dziwny rodzaj urody bez przyczyny).



Ryba żyje w zupełnych ciemnościach na głębokości 2000 m, a wypływa na żer na głębokość 800-900 m i stąd się ją poławia specjalnymi żyłkami długości 1 km. Tej ryby oczywiście nikt jeszcze nie widział żywej, bowiem zanim rybacy wyciągną ją na powierzchnię, nie przeżywa ona ogromnej różnicy ciśnienia, która natychmiast ją zabija. Jadłam espadę kilkakrotnie w różnych miejscach Madery i jest doprawdy przepyszna! Białutkie, delikatne mięsko, zupełnie pozbawione ości stanowi doprawdy rozkosz dla podniebienia miłośników ryb. Polecam koniecznie spróbować!

W Funchal znajduje się główny deptak, przy którym mieszczą się najważniejsze instytucje publiczne na Maderze oraz dwa wspaniałe ogrody. W szczególności warto zobaczyć budynek Banku Portugalskiego. Został on wybudowany w 1940 r. w lokalnym stylu. Rzeźby na nim symbolizują zdrowie i obfitość, a globus na wierzchołku wieży – epokę odkryć geograficznych. Przed bankiem znajduje się pomnik Joao Goncalves Zarco – odkrywcy Madery. Odświeżono go w 1934 r. na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic Funchal. Jest to dzieło rzeźbiarza Francisco Franco, które powstało dla uczczenia 500. rocznicy odkrycia wysp przez Zarco. Fundament został zaprojektowany przez architekta Cristini da Silva i przedstawia alegoryczne postacie związane z odkryciem. Kawalek dalej znajdziemy bardzo przyjemny ogród *Jardim Municipal do Funchal*. Jest to ogród miejski naprzeciwko teatru, zajmujący ponad 800 m². Został on założony w 1800 r. na miejscu dawnego klasztoru Sao Francisco, którego herb można jeszcze zobaczyć na kamieniu na jednym z trawników. Tuż obok znajduje się katedra – jej piękno reprezentuje mieszankę hiszpańsko-arabskich stylów gotycko-romańskich. Została ona zbudowana w 1514 r. i jest jednym z najpiękniejszych kościołów w Portugalii, stropy są rzeźbione z miejscowego drewna. Tron biskupi w prezbiterium wykonano w stylu flamandzkim, główne drzwi gotyckie mają kilka cech stylu manuelińskiego. W środku szczególnie cenne są piękne mozaiki, rzeźby z drewna zdobiące m.in. chór i ściany, a przedstawiające świętych, proroków i apostołów. Wpatrzyłam się w strop i osłupiałam. Zrobiony jest z tutejszego cedru, wykładanego białą gliną i muszelkami. To wyjątkowe dzieło – jestem zachwycona. Przed katedrą znajduje się jeden z polskich akcentów na wyspie – pomnik Jana Pawła II.

W małej uliczce, w drodze na promenadę, obok niewielkiego sklepiku, weszliśmy wprost na marszałka. Szczerze mówiąc, ja go przeoczyłam, chociaż najbardziej ze wszystkich chciałam go znaleźć. Ktoś z tyłu nagle powiedział: *spójrz, masz wreszcie ten pomnik, którego szukasz!* Z wystawy sklepowej spogląda na ulicę niewielki osesek, a obok na postumencie stoi popiersie J. Piłsudskiego. A to ci historia! Dopiero teraz połapałam się, że to zupełnie niedaleko od pomnika Jana Pawła II. Znam ten epizod z jego życia. Marszałek mieszkał od 21.12 do 22.03.1931 r. na przedmieściach Funchal w rezydencji Quinta Bettencourt. Tu wypoczywał, leczył się, ale także trochę pisał. Miłe są takie polskie akcenty, gdzieś tam daleko od kraju. No to spełniłam swój patriotyczny obowiązek – odwiedziłam dwa polskie miejsca na tej wyspie.

Schodzimy na dół, by zobaczyć port, który jednak w dużej mierze cały czas jest remontowany na skutek zniszczeń, które dokonała powódź w 2010 r. oraz w wyniku planów modernizacyjnych. Znajdziemy tam wiele przyjemnych kafejek oraz liczne ławki. Jest to dobre miejsce na małą przerwę. Maderyjskie Ogrody to osobny temat, jest ich na Maderze i w samym Funchal niezliczona ilość, pomijając fakt, że w zasadzie cała Madera to jeden wielki ogród! Do Funchal wybieraliśmy się kilkakrotnie, kolejnym razem odkrywając głębiej jego uroki zakamarki, poznając wąskie uliczki, kręciliśmy się po mieście co krok znajdując ciekawe miejsca, pomniki, budynki, piękne kamienice, malutkie kościółki, wracaliśmy na Promenadę, aby pospacerować po ślicznym porcie, popodziwiać replikę *Santa Maria* czy wpływający właśnie do portu wielki wycieczkowy liniowiec.

Teraz przenoszę się na Maderę Zachodnią. To drogi ciągnące się dolinami, które łączą miejscowości Riberia Brava i Sao Vicente, w otoczeniu przez najwyższe wierzchołki centralnej Madery i krajobrazy pofałdowanych wrzosowisk Paul da Serra. To gwałtownie wpadające do oceanu na północy formacje skalne tworzące malownicze, kaskadowe wodospady i wreszcie kurczowo trzymające się stoków na południu i zachodzie małe wioski rolnicze. Po drodze pani przewodnik przedstawiła informacje o wyspie, a ponieważ mieliśmy jechać od poziomu morza aż do górskiej przełęczy, poruszony został temat roślin, uprawianych na wyspie na różnych wysokościach.

Cdn.
Elżbieta Lisiecka

Po różowych granitach Chikanishing Trail

Główną bazą wypadową dla turystów w północnej części Georgian Bay jest małe miasteczko Killarney, wspomniane w poprzednim odcinku „Globtrotera”. „Chikanishing Trail” to krótki, znakowany szlak turystyczny, o charakterze naszych ścieżek dydaktycznych. Prowadzi on przez niezmiernie atrakcyjne tereny rozległej kanadyjskiej prowincji Ontario, gdzie różowe granity Tarczy Kanadyjskiej nurzają się w szmaragdowych wodach Georgian Bay – ogromnej zatoki jeszcze większego jeziora Huron.

Początek *trailu* znajduje się około 6 km na północo-wschód od Killarney, nad potokiem zwanym Chikanishing Creek. Wypływa on z ciągu jezior u podnóża południowego grzbietu La Cloche Mountains i uchodzi niedaleko stąd do Georgian Bay. W pogodne dni lata nie jest łatwo znaleźć na tutejszym parkingu wolne miejsce na samochód. Od samego rana zjeżdżają się amatorzy wypoczynku na wodzie, którzy w tym jedynym wygodnym miejscu wodują swoje kajaki i canoe. Długość ścieżki wynosi 3,5 km. Czas przejścia zależy od tego, jak długo chcemy sycić oczy wyjątkowymi widokami, pojawiającymi się za każdym kolejnym wzniesieniem, i ile czasu chcemy poświęcić na pstrykanie kolejnych zdjęć. Tablica informacyjna u początku ścieżki podaje 2-2,5 godziny. Nam zajęło to znacznie dłużej! Szlak ma znakowanie czerwone. Znaki mają formę kółka czerwonej barwy z wypustką w kształcie strzałki, pokazującą kierunek marszu. Na skałach są one malowane, a cały znak jest otoczony obwódką koloru czarnego. Na drzewach przybijane są natomiast identyczne znaki, wykonane z czerwonego tworzywa. Wędrówka dostarcza nieznanymi dotychczas wrażeń. Bez trudu znajdujemy kolejne znaki. Granitowe skały, wypolerowane przez lądolód, po deszczu zapewne są śliskie. Dziś jednak cieszymy się słonecznym, cudownie ciepłym, sierpniowym dniem i sprawnie pokonujemy kolejne różowe bałuchy.

Wędrując po tych – zdawałoby się – pustych i dzikich terenach trudno sobie wyobrazić, że pierwsi ludzie pojawili się nad brzegami Georgian Bay krótko po zakończeniu epoki lodowcowej, jakieś 10 tys. lat temu. Byli to rdzenni mieszkańcy Północnej Ameryki – ci, których my nazywamy Indianami, a którzy w oficjalnej nomenklaturze kanadyjskiej określani są jako „First Nations”. Gdzieś od IX w. n. e. członkowie tutejszego plemienia Anishinaubak rozpoczęli handel wymienny z Wendatami (Huronami), zamieszkującymi południowe brzegi Georgian Bay. Za suszone ryby, dziczyznę, jagody („blueberries” – te same, które upowszechniają się i w naszych ogródkach jako „jagody amerykańskie”) oraz dziki ryż otrzymywali kukurydzę, fasolę, dynie, tytoń, a także sznurki niezbędny do wiązania sieci. Pierwsi biali, którymi byli Francuzi i Metysi – traperzy i handlarze futrami, przybyli w te strony drogą wodną w połowie XVIII w. z Montrealu. Swe sukcesy w kolonizacji tej krainy zawdzięczali pomocy przyjaźnie do nich nastawionych Indian.

Porucznik Andrew Agnew of Lochnaw (1818-1892), który w latach 1835-1842 służył w 93rd (Sutherland) Highlanders, podróżował przez te tereny w 1839 r., udając się z Toronto na wyspę Manitoulin. Miał tam wziąć udział w tradycyjnym, organizowanym co roku w sierpniu przez tamtejszych Indian, święcie zwanym z angielska „gift-giving”. Swe wrażenia zebrał w książeczce zatytułowanej „From Lochnaw to Manitoulin: A Highland Soldier’s Tour Through Upper Canada” (aktualne wydanie Toronto, 1999), w której napisał m. in. (tłum. autora): *...wyniosłe góry, wyraźnie rysujące się na horyzoncie, pokryte smugami światła i cienia, jakie dawało słońce w walce z chmurami, przedstawiały najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek podziwiałem w Kanadzie.*



Tu dominują trzy kolory: róż, zieleń i błękit



Ujście potoku Chikanishing do zatoki Georgian

mi wysp i wysepek o wszelkich możliwych wymiarach. Na tych większych, na których zdołała wytworzyć się w zagłębieniach granitu jako-taka warstwa gleby, rosną sosny i klony. Na tych mniejszych, uboższych, w szczelinach skalnych zielenią się jedynie krzewinki i trawy albo przynajmniej mchy. Nawet na gołej, zdawałoby się bezpłodnej skale rozwija się życie w postaci wykwitów różnobarwnych porostów.

W lewej części panoramy zatoki horyzont zamyka lesisty cypel Wyspy Filipa Edwarda (*Philip Edward Island*), jednej z największych w tej części Georgian Bay. Od lądu oddziela ją wąski kanał Collins Inlet, będący od początków żeglugi po tych wodach ważną arterią komunikacyjną. W jego rozszerzeniu, około 16 km na wschód, powstała w 1886 r. gwarna osada, zamieszkiwana przez drwali, zrywających drewno ze stoków La Cloche Mountains i spławiających pnie rzeką Mahzenazing do zatoki. Jej ośrodkiem był duży tartak parowy. W okresie szczytowego rozwoju osiedle liczyło około 200 mieszkańców, miało własną szkołę, lekarza i duchownego. Tartak spłonął jednak w 1917 r., co przyniosło natychmiastowy upadek osady. Dziś pozostały po niej jedynie ślady budowli, wokół których zbudowano kilka domków letniskowych (Mahzenazing River Lodge). Tym niemniej drewno zrywano dalej, transportując je zimą saniami, a wiosną – na fali wód potoku Chikanishing, spiętrzanych klauzami u podnóża pasma South la Cloche Range. Trudno uwierzyć, ale ten niewielki ciek wodny zapewniał corocznie spław 200 tys. pni drzewnych! Stojąc na brzegu staramy się wyobrazić sobie, jak musiały wówczas wyglądać wody zatoki. Zastęp drwali zbijał pnie w tafle, te z kolei łączono w wielkie tratwy. W granitowej skale wysepki przed nami tkwi do dziś stalowy hak z kółkiem, jeden z wielu, do których je wówczas wiązano. Tratwy były następnie holowane przez parowe holowniki wzdłuż wybrzeża Georgian Bay aż na jej południowy kraniec, do miasta Midland. Ostatni spław potokiem Chikanishing miał miejsce wiosną 1955 r.

Ale palicho tratwy! Było – minęło! Dziś pływają tędy inne jednostki. Właśnie z za zakrętu potoku pojawia się flotylla kolorowych kajaków i lekkich canoe. Machamy rękami na



Na szlaku nie brakuje odcinków „górskich”

Stojąc na skalistym wzniesieniu nad zatoką stwierdzamy, że my również chętnie podpisalibyśmy się pod słowami pana Agnew: to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie udało nam się ujrzyć w Kanadzie! Z jednej strony góry: choć bez śniegu, jednak pałające oślepiającą bielą kwarcytowych skał, z drugiej – ogromna zatoka Georgian, nie darmo nazywana czasem szóstym z Wielkich Jezior. Ma ona powierzchnię 15 tys. km², co stanowi ponad 1/4 powierzchni całego jeziora Huron. Nawet nie staramy się dostrzec jej przeciwnego brzegu. Tu, u naszych stóp, gładka, szmaragdowa toń poprzetykana jest dziesiątkami

powitanie nieznanymi wioślarzami, po czym szybko schodzimy na brzeg. Wskakujemy w stroje kąpielowe i zanurzamy się w wodzie. Pierwsze zaskoczenie: woda, oprócz tego że głęboka i krystalicznie czysta, jest jeszcze zadziwiająco ciepła! Pływanie w niej to istna rozkosz! Drugie zaskoczenie przychodzi, kiedy postanawiamy zakończyć kąpiel: skały przy brzegu są niesamowicie śliskie i wyjście na „suchy ląd” staje się zupełnie poważnym wyzwaniem!

Po wyjściu z wody dostrzegamy innego amatora kąpielii: to *northern water snake*, czyli „północny wąż wodny”. Na szczęście niejadowity, a do tego ładnie ubarwiony, pełni tu rolę naszego zaskrońca. W południowo-wschodnich stanach USA jest mylony z bardzo jadowitym mokasynem błotnym i często tępiony. Tu nic mu nie zagraża, jednak widząc ruch na brzegu na wszelki wypadek szybko znika w przybrzeżnych szuwarach. Kanadyjscy ekolodzy bardzo lubią tego węża, bowiem w regionie Wielkich Jezior (zwłaszcza w jez. Erie) do 90% jego diety stanowi obecnie babka śniadogłowa. Ta niewielka ryba, która dostała się tu przypadkiem na początku lat 90. ub. wieku z basenu Morza Czarnego, jest obecnie uznawana za jeden z groźniejszych gatunków inwazyjnych tutejszej fauny.

Jeszcze przez chwilę przypatrujemy się następnym kolorowym łódkom, wypływającym na wody zatoki, po czym ruszamy z powrotem. Po pokonaniu głębokiego, nieco podmokłego wąwozu i wdrapaniu się na kolejną różową grzędę, ponownie widzimy zatokę. Andrzej rzuca jakby od niechcenia: *No, to jutro my na wodę!*

Mirosław J. Barański

Dominikana z transoceanicznych statków

Białe piaszczyste plaże, parki narodowe, zabytki kolonialne i strefy zakupowe – to wszystko czeka na Ciebie w Republice Dominikańskiej. Coraz więcej Polaków i Polek wyrusza do Republiki Dominikańskiej na pokładzie luksusowych pasażerskich statków transoceanicznych. W kraju znajduje się pięć dużych portów, dzięki czemu zobaczyć można nie tylko historyczne centrum Santo Domingo, ale także elegancką La Romanę, wiktoriańskie Puerto Plata lub naturalny raj na Samanie.

Turystyczne rejsy wokół Dominikany to gałąź turystyki z dużym potencjałem. Zgodnie ze statystykami Banku Centralnego (Banco Central) klienci wydają na transatlantyckich rejsach po wypłynięciu do portu w miejscu docelowym około 110 USD dziennie. „O ile w 2013 r. na pokładach statków przybyło do kraju 561 tys. turystów, w 2014 r. było 600 tys., a w 2015 spodziewamy się wzrostu o kolejne 10%” – mówi Leila Boasier Budecker, dyrektorka Narodowej Centrali Turystycznej Republiki Dominikańskiej.

Dominikańska metropolia Santo Domingo, miasto na Karaibach z największą populacją, dzięki swojemu strategicznemu położeniu służy nie tylko jako „port macierzysty”, z którego turyści podróżują do innych karaibskich wysp, ale także jako punkt wyjściowy do odkrywania dominikańskiego wybrzeża. Z terminalu Don Diego można bezpośrednio dostać się do Dzielnicy Kolonialnej miasta, gdzie znajduje się wiele interesujących zabytków. Drugi terminal Sans Souci uważany jest za najnowocześniejszy w całym regionie Karaibów. Port w La Romana niedawno przeszedł remont – może przyjąć aż dwa statki transatlantyckie na raz. W okolicy znaleźć można dziewicze plaże Bayahibe i Dominicus, wioskę artystów Altos de Chavón czy kurort sportowy Casa de Campo ze sławnym polem golfowym „Psi ząb” i „The Links”. Puerto Plata słynie z willi w stylu wiktoriańskim z końca XIX w., z kolorowych domów i bujnego życia nocnego. W regionie panują idealne warunki do uprawiania windsurfingu, kiteboardingu czy do nurkowania. Półwysep Samaná na północo-wschodzie to region pełen tropikalnych wiecznie zielonych lasów, wodospadów, gajów kokosowych i rajskich plaży. Co roku od przełomu roku aż do marca obserwować tu można przybywające na gody wieloryby długopłetwowe.

Sprzedaż rejsów turystycznych przeżywa ostatnio wielki boom, przede wszystkim dzięki nowym prestiżowym liniom, które uwzględniły kraj w swoich planach podróży. W porcie Sans Souci np. w ostatnich latach cumował luksusowy parowiec firmy „Caribe Tropical Horizon”, przewożący 700 pasażerów. Inne firmy obsługujące ten kierunek to np. Royal Caribbean International, Costa Cruises czy Princess Cruise Line. Statki transatlantyckie oferują luksusowe zakwaterowanie w pięciogwiazdkowym standardzie. Łodzie kotwiczą w portach rano i wypływają wczesnym wieczorem, turyści mają więc na zwiedzanie cały dzień. Na pokładzie korzystać można z basenów, barów, centrum fitness, salonów kosmetycznych czy wielu innych usług.

Narodowa Centrala Turystyczna Republiki Dominikańskiej

Kijowski skansen

Na południowym obrzeżu Kijowa, przy Lesie Gołosiejewskim blisko wielkiej obwodnicy drogowej, znajduje się największy na Ukrainie skansen, zwany Muzeum Architektury Ludowej i Bytu. W 1969 r. na lesistych wzgórzach obok ówczesnej wsi Pirogowo rozpoczęto prace, a zakończono je i udostępniono ten kompleks architektoniczno-pejzażowy w 1976 r. Skansen na obszarze 150 ha zgromadził ponad 300 zabytków architektury ludowej. Są to zagrody wiejskie, szkoły, wiatraki, kuź-



nie, cerkwie, przywiezione z różnych regionów Ukrainy: Środkowego Naddnieprza, Słobożańszczyzny, Połtawszczyzny, Polesia, Podola, Karpat, Południa Ukrainy – ze wszystkich obwodów kraju. Tworzą one zespoły obrazujące regiony. Miejsce, jakie wybrano pod skansen, w części równinne, w części pagórkowate, pozwoliło na rozmieszczenie tu zarówno chat ze stepowego południa kraju, jak i chat karpackich. Większość stanowią chaty z XIX w., zawierające wewnątrz meble, wyposażenie domowe, obrazy artystów ludowych, drewniane i ceramiczne naczynia kuchenne, odzież, tkaniny, instrumenty muzyczne, narzędzia i sprzęt rolniczy – razem około 50 tys. eksponatów, najstarsze nawet z XVI w. Każda chata jest właściwie małym muzeum, w którym odtworzono atmosferę i sytuację, w jakiej żyli kiedyś wieśniacy na Ukrainie. Zwiedzając skansen można w chatach posłuchać objaśnień pracownic ubranych w ludowe stroje, zapoznać się z budową wiatraków, asystować przy pracy kowala, posłuchać śpiewu wędrownego artysty lub jego gry na bandurze, cytrze czy bajanie, zjeść posiłek w karczmie, a w niedzielę uczestniczyć nawet w nabożeństwie w cerkwi prawosławnej.

Kiedyś trafiłem tu w maju, gdy między zagrodami zieleniły się zboża, żółciły rzepaki, białe okwiecone jabłonie i wiśnie, pachniały białe i niebieskie bzy wokół chałup. Setki Ukraińców i cudzo-



ziemców snuło się po piaszczystych drogach, wchodząc co chwila do chat bogaczy, średniaków i biedaków. Skansen stał się dla kijowian miejscem czynnego odpoczynku latem. Może on przyjąć dziennie nawet 10 tys. zwiedzających. W ciągu pierwszych dziesięciu lat istnienia to uroczę miejsce odwiedziło 1,5 mln turystów. I wciąż jest ono atrakcją, zwłaszcza dla grup turystycznych, zarówno zagranicznych, jak i szkolnych z całej Ukrainy.

Janusz Fuksa

Koleją w czeskie Karkonosze

Zapraszamy na wycieczkę kolejową po malowniczej linii z Jeleniej Góry do Szklarskiej Poręby i dalej do czeskiego Harrachova.

Po wyjeździe ze stacji w Jeleniej Górze i przejechaniu po wysokim moście nad rzeką Bóbr rozpoczynamy podróż po jednej z najpiękniejszych linii kolejowych Dolnego Śląska. Początkowo torry będą płaskim odcinkiem, mijając po drodze jeleniogórskie dzielnice Cieplice i Sobieszów. Następnie linia dociera do Piechowic, skąd rozpoczyna się jeden z najciekawszych odcinków. Aż do Szklarskiej Poręby linia biegnie przez piękny las iglasty. Po minięciu Górzyńca możemy podziwiać piękne widoki na Karkonosze, które będą towarzyszyć nam aż do stacji końcowej. Tuż przed Szklarską Porębą Dolną wjeżdżamy do krótkiego tunelu, po czym efektownymi serpentynami kontynuujemy jazdę aż do Szklarskiej Poręby Górnej. Na stację wjeżdżamy po lekkim łuku w górę i na dworcu kończymy ten etap naszej podróży.

Następnie przesiadamy się do czeskiego składu, który zawiezie nas do Harrachova. Po drodze mijamy Ośrodek Narciarstwa Biegowego w Jakuszycach – tutejszy przystanek jest najwyższym położonym przystankiem kolejowym w Polsce (886 m). Kilka minut później wjeżdżamy na stację w Harrachovie. Po przesiadce możemy dalej kontynuować podróż w stronę Liberca lub też udać się na spacer po urokliwym czeskim miasteczku. **Przed podróżą prosimy sprawdzić aktualny rozkład jazdy pociągów na stronach przewoźników kolejowych, aby uniknąć niespodzianek w czasie podróży:** www.kolejedolnoslaskie.eu, www.przewozyregionalne.pl i www.gwtr.cz.

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Odkryj Iran z Mahan Air

Iran znowu miało okazję do świętowania 11. marca otwarcia nowego połączenia z Teheranem przez irańską linię lotniczą Mahan Air. Loty obsługiwane przez nowoczesne airbusy, rozpoczynają się o godz. 10.45 z Monachium i kończą się w gospodarczej i kulturalnej metropolii Teheran o godz. 5.45, początkowo w każdą środę i niedzielę, a od 22. maja także w piątki. Rejsy powrotne odlatują o godz. 7 i przylatują do Monachium o godz. 9.25 w te same dni. Mahan Air oferuje świetne połączenia z Teheranu do Bangkoku, Kuala Lumpur, Szanghaju i Guangzhou. Pierwszy odlot był poprzedzony tradycyjną ceremonią przecięcia wstęgi z udziałem ambasadora Iranu Ali Majediego, dr. Michaela Kerkloha i Ebrhaimiego Hosseina – wiceprezesa ds. handlowych Mahan Air.



International Media Relations Munich Airport

Międzynarodowe Targi Turystyczne Wrocław 2015

Kolejna, siódma już edycja Międzynarodowych Targów Turystycznych 2015 we Wrocławiu za nami. Na przełomie lutego i marca około 10 tys. zwiedzających przybyło do wrocławskiej Hali Stulecia. Aż 245 wystawców zaprezentowało swoje oferty. Wśród m.in.: regionów, biur podróży, hoteli i organizatorów imprez turystycznych nie zabrakło stoiska Oddziału Wrocławskiego PTTK. W ramach jego funkcjonowania można było skorzystać nie tylko z ofert własnych, ale także z materiałów nadesłanych przez jednostki Towarzystwa z całego kraju. Szkoda jednak, że zabrakło wydawnictw opublikowanych przez Oddział. Dużym zainteresowaniem cieszyły się konkursy, organizowane przezeń. Odbywały się one na głównej scenie Hali Stulecia. Jedną z osób wręczających nagrody, ufundowanych też przez nasz magazyn, był jego redaktor naczelny Krzysztof R. Mazurski. Przewodnicy miejscy, zrzeszeni w Oddziale, oprowadzali zainteresowane osoby po Wrocławiu. W rozmowach z niektórymi z wystawców było słychać zadowolenie z tej formy poznania miasta. Targi stały się imprezą ze wszech miar udaną. Program mógł zadowolić wszystkich. Największym zainteresowaniem cieszyły się spotkania z podróżnikami, szczególnie z Aleksandrem Dobą, Krzysztofem Wielickim czy Beatą Pawlikowską. Jak zwykle, spora ilość osób interesowała się wszelkimi formami związanymi z kulinariami. Atrakcyjne występy taneczno-muzyczne umilały czas zwiedzającym. Targom towarzyszył zgrabny i fachowo opracowany katalog.



Fragment ekspozycji



Przedstawiciele Oddziału Wrocławskiego PTTK wręczają nagrody

Wojciech Radliński

NA SZLAKU

**Polub nas
na Facebooku!**

Wystawa o Redenach

W czwartek 12 lutego br. w Muzeum Miedzi w Legnicy otwarto wystawę „Friederike i Friedrich Wilhelm von Reden. Matka Kotliny Jeleniogórskiej i ojciec górnośląskiego przemysłu”. Wystawa ta przez ostatnie miesiące była prezentowana w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu, wzbudzając spore zainteresowanie odwiedzających pałac.

Na wstępie Urszula Bończuk-Dawidziuk z Uniwersytetu Wrocławskiego zaprezentowała wykład „Friederike von Reden – między tradycją a nowoczesnością. Dama na przełomie wieku XVIII i XIX”. Początkowo odniosła się do określenia *Matka Kotliny Jeleniogórskiej*. Pierwsi, którzy wyrażali się o niej w ten sposób, to ewangeliccy Tyrolczycy, którzy przybyli tu z Zillertal, opuszczając Tyrol w wyniku restrykcji religijnych.

Późniejsze działania hrabiny Reden doprowadziły do umiejscowienia norweskiego kościółka Wang w Bierutowicach (obecny górny Karpacz). Podejmowane przez nią działania w ramach Towarzystwa Biblijnego spowodowały, że uznano je za najlepsze z wszystkich tego typu organizacji. Hrabina wywalczyła wydanie drukiem *Biblii Jeleniogórskiej*, która ze względu na zainteresowanie wydawana była jeszcze kilkakrotnie.

Najwspanialszym jednak dziełem Redenów było powstanie w Bukowcu pod Rudawami Janowickimi rozległego założenia parkowego, przy tworzeniu którego wykorzystano angielską myśl ogrodniczą. Na terenie parku zbudowano wiele elementów małej architektury. Były to m.in.: wieża widokowa, herbaciarnia, salon, domek rybaka, opactwo. Co do tego ostatniego to tak się złożyło, iż mimo że nie było to początkowo celem, w jakim wznoszono ów obiekt, to w 1815 r., kiedy zmarł hr. von Reden, pochowano go właśnie w tej niepoświęconej wtedy budowli. Później obok męża spoczęła hrabina von Reden.

Po wykładzie wywiązała się bardzo ciekawa dyskusja, podczas której wszyscy dzielili się nowymi informacjami. Piszący te słowa opowiedział o odkryciu kilka tygodni wcześniej, uważanej za zaginioną, ławeczki hrabiny. Poinformował o otwarciu w Bukowcu Regionalnej Pracowni Krajoznawczej oraz zaprezentował nowe numery wznovionych po przerwie „Karkonoszy”, wydawanych obecnie przez Karkonoski Park Narodowy i Związek Gmin Karkonoskich. W imieniu dyrektora Biura ZGK Witolda Szczudłowskiego przekazał podziękowania za przejęcie wystawy o Redenach i życzył, by cieszyła się ona w Legnicy co najmniej takim samym powodzeniem jak w Bukowcu.

Krzysztof Tęcza



W Górach Sowich na śladówkach

Kto by pomyślał, że w tak niewielkiej grupie górskiej można ciekawie spędzić kilka dni i to zimą. Jak się okazało, można, a nawet trzeba. To refleksja po XV Śladowym Spotkaniu Czytelników i Sympatyków NS, które odbyło się 26 lutego – 1 marca. Trzymam się tej nazwy wymyślonej piętnaście lat temu. Choć nie jest precyzyjna, bo w użyciu są narty śladowe i biegowe, to jednak uczestnicy zostawiają swoje ślady na śniegu, a Spotkanie pozostawia ślad w ich pamięci. Jakże zatem było to XV Spotkanie?

Przede wszystkim udane i właściwie można na tym poprzestać. Warto tę myśl rozwinąć opisując, co tam się działo. Dopisała frekwencja. Uczestników było łącznie 22, w tym 19 przez cały czas Spotkania i 3 na niedzielnej końcówce. To optymalna ilość pozwalająca na organizacyjne ogarnięcie wszelkich spraw i wydarzeń, choć na większą też nikt by się nie obraził. Bywało wszak już sporo ponad 30 osób. Do schroniska PTTK „Zygmuntówka” w Górach Sowich przybyli turyści-narciarze z Krakowa, Rzeszowa, Kaszuba, Zawiercia, Torunia, Górnego Śląska i Wrocławia. Jak widać, spory rozrzut geograficzny.

Przybywali różnie, bądź samochodami, bądź komunikacją publiczną, co dodawało smaku przygody, bo niełatwo jest przedostać się na miejsce z Wrocławia lub Wałbrzycha. Pociągi i autobusy docierają w okolice rzadko i nie zawsze o odpowiedniej dla podróżnego z głębi Kraju porze. Niektórzy drałowali



Przed wyruszeniem na szlak ze schroniska PTTK „Zygmuntówka”



W drodze na Wielką Sowę

li drogą z Jugowa, a nawet ze stacji kolejowej w Ludwikowicach Kłodzkich. Bazą było niewielkie schr. PTTK „Zygmuntówka” pod Przeł. Jugowską (805m). Położone na wysokości 740 m na zboczu Rymarza (913 m) jest z jednej strony łatwo dostępne, a z drugiej wysokość gwarantuje obecność śniegu. Na to liczyliśmy i tak też było. Warunki śniegowe mieliśmy zupełnie dobre, nie brakowało śniegu na żadnej z tras wycieczkowych. Wszystkie ścieżki i drogi, którymi wędrowaliśmy, położone są powyżej 800 m, wszystkie uklepane i z założonymi śladami do biegówek. Czego chcieć więcej? Może słońca i lekkiego mrozu, żeby to wszystko nie

topiło się i nie kleiło do nart. Prawie tak było. Nocne przymrozki poprawiały stan śniegu, a dzienne temperatury nieprzekraczające +1 specjalnie go nie psuły. Było trochę mgły (chmury na około 850 m) i trochę słońca. W ciągu kilku dni obchodziliśmy chyba wszystko, co dało się wykorzystać pod wędrowanie na nartach. Byliśmy, rzecz jasna, na Wielkiej Sowie (1015 m) – niektórzy dwa razy, na Rymarzu, na Małej Sowie (972 m), na Kalenicy (964 m). Do wędrowki wykorzystaliśmy zwykłe szlaki piesze i narciarskie oraz polecane przez gospodarzy terenu „gminne” szlaki narciarskie i rowerowe. Na wszystkich panowały dobre lub nawet bardzo dobre warunki śniegowe. Lekko nachylone stokówki dawały możliwość długich bezpiecznych zjazdów, ale i śródleśne, nieco kręte i węższe szlaki nie naręczały kłopotów w zjazdach, zaś na podejściach nie zmuszały do nadmiernego wysiłku. Śmiałkowicie próbowali nawet zjechać z Rymarza po dość stromej i wymagającej trasie zjazdowej, na której od rana do wieczora ćwiczyli uczestnicy obozu snowboardowego i narciarze-zjazdowcy.

O schronisku mogę powiedzieć śmiało, że spełniło wszystkie nasze wyobrażenia i oczekiwania. Wygodne pokoje, ciepło, czysto, kominek zaopatrzony w drewno przez gospodarzy, smaczne posiłki. To w zupełności wystarcza turyście.

Wieczorami, przy ciepłym kominku, raczyliśmy się relacjami organizatorów i uczestników wcześniejszych tegorocznych imprez narciarskich. Były to relacje z Wędrowek Północy, kaszubskiego rajdu *Zemowe Wandre*, rajdów narciarskich na Spiszu i na Jurze. Były także wspomnienia z letnich wypadów do Chorwacji. „Burzliwy” przebieg miała dyskusja dotycząca wyboru miejsca kolejnego spotkania w przyszłym roku. Nie stanie się zadość tradycji zmiany regionu i zamiast w Beskidach spotkamy się znowu w Sudetach i to całkiem niedaleko, bo w schronisku PTTK „Andrzejówka” w Górach Suchych na południe od Wałbrzycha. Zdecydowały dobry dojazd i trasy narciarskie w okolicy. Dodam, że „Andrzejówka” wygrała z kandydaturą schroniska na Szyndzielni. Dziękując wszystkim przybyłym za uczestnictwo i gospodarzom schroniska za miłą gościnę zapraszam na Spotkanie za rok.

Juliusz Wystouch

Dzieło życia...

Pomysł zorganizowania wystawy fotograficznej na temat Legionów Polskich z I wojny światowej powstał w... 1982 r. w środowisku krajoznawców zrzeszonych w Oddziale Wrocławskim PTTK... – tak wspominał Andrzej Rumiński, autor wystawy fotograficznej „Legiony Polskie 1914-1918”, której wernisaż odbył się 5 marca br. w Klubie Turysty Oddziału Wrocławskiego PTTK.

Wymazywane przez lata władzy komunistów znaczące fragmenty historii narodu polskiego Andrzej Rumiński postanowił uchwycić w niepowtarzalny zbiór materiałów i kadrów fotograficznych. W latach 1982-84 gromadził on literaturę i opracowywał trasy krajoznawcze po miejscach upamiętniających ślady „legionów”. Przeszedł z plecakiem miejsca opisane przez Józefa Piłsudskiego w książce *PI-SMA – MOWY – ROZKAZY*. Pierwsze otwarcie wystawy (3.08.1984 r.) zostało przesunięte. Niestety, pięć zamówionych lokali zrezygnowało z nich mimo zgody cenzora „państwowego”, który tylko nie pozwolił na pokazanie ośmiu fotografii, na których dominował Marszałek Piłsudski. Tyle z historii wystaw.



Rozpoczęcie wernisażu



Przy pamiątkach legionowych

ment dużych zbiorów poświęconych Legionom. Podziękował również Komisji Krajoznawczej Oddziału Wrocławskiego za zorganizowanie wystawy, z ramienia której niżej podpisany był jej komisarzem. Bardzo ciekawym uzupełnieniem wernisażu była prelekcja o legionach i Józefie Piłsudskim, którą wygłosił Stanisław Bobowiec. Uznanie wyraził m.in. prezes Oddziału Krystyn Chudoba. Wśród wielu obecnych byli też potomkowie legionistów.

Jacek Myszkowski



Autor wystawowej kolekcji

Od Redakcji: Dodajmy jeszcze, że dzięki Markowi Dudzie odbyła się ciesząca się dużym powodzeniem wystawa w Prudniku, nadto były jeszcze w Bielsku-Białej i Krakowie.

Imprezy na terenie „Księstwa Świdnicko-Jaworskiego” i w okolicy

do 31.04.2015 – WYSTAWA CZASOWA „ZBRODNIA KATYŃSKA”, Muzeum Gross-Rosen, ul. Ofiar Gross-Rosen 26, Rogoźnica, wstęp wolny

04.04.2015 (sobota), godz. 8:00 – 14:00 – ŚWIEBODZICKA GIEŁDA STAROCI I RÓŻNOŚCI, Rynek w Świebodzicach, wstęp wolny



Księstwo Świdnicko-Jaworskie
Lokalna Organizacja Turystyczna

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Program wycieczek Oddziału Wrocławskiego PTTK na 2015 r.

- **18 kwietnia: Góry Sokole:** Trzcianko – Góry Sokole – Szwajcarka – Trzcianko
wycieczka autokarowo – piesza, cena 75,00 zł
 - **9 maja: Opactwo cystersów w Lubiążu – Zagroda Łużycka – Wołów- Białków**
wycieczka autokarowa, cena 70,00 zł
 - **23 maja: Radomierz – Pałac w Bukowcu – Park Miniatur w Kowarach – Mauzoleum Schaffgotschów w Raszowie – kolorowe jeziora w Wieściszowicach**
wycieczka autokarowa, cena 85,00 zł
 - **13 czerwca: Rudawy Janowickie: Janowice Wielkie – Dwór w Mniszkowie – Punkt widokowy Wołek – Wieściszowice – Marciszów**
wycieczka autokarowo – piesza, cena 75,00 zł
 - **20 czerwca: Sobótka – Sobótka Górka – Pałac w Krzyżowej – Wiatrak Holenderski w Gogołowie**
wycieczka autokarowa, cena 70,00 zł
 - **4 lipca: Śląska Fudżijama: Sokołowice – Proboszczów – Ostrzyca Proboszczowicka – Twardocice**
wycieczka autokarowo – piesza, cena 75,00 zł
 - **11-12 lipca: Warownie Jurajskie: Olsztyn – Pustynia Siedlecka - Jaskinia Głęboka – Mirów – Grzęda Mirowska – Bobolice – Ogrodzieniec – Pustynia Błędowska**
cena: 420 zł/osoba (w tym wstępy)
 - **25 lipca: Janowice Wielkie – Zamek Bolców – Starościńskie Skały – Janowice Wielkie**
wycieczka autokarowo – piesza, cena 75,00 zł
 - **22 sierpnia: Wielka Sowa: Przełęcz Jugowska – Koźle Siodło – Wielka Sowa – Schronisko Orzeł – Przełęcz Sokola**
wycieczka autokarowo – piesza, cena 70,00 zł
 - **5 września: Zamek Bolków – Wieża Książęca w Siedlęcinie – Skansen górniczo-hutniczy w Leszczynie**
wycieczka autokarowa cena 85,00 zł
 - **12-13 września: Sandomierz na weekend: Baranów Sandomierski – Sandomierz – Ujazd**
wycieczka autokarowa, cena 470 zł/osoba (w tym wstępy)
 - **10 października: Dolina Baryczy i Milicz: Ostoja konia polskiego – Milicz – Ruda Miłicka – Duchowo – Wierzchowice – Krośnice**
wycieczka autokarowa, cena 100,00 zł (w tym przejażdżka bryczkami)
 - **24 października: Trzebnica – Prusice – Żmigród – Brzózka**
wycieczka autokarowa, cena 70,00 zł
- Serdecznie zapraszamy

Zapisy: Oddział Wrocławski PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 71 344 39 23, mail: bort@pttk.wroclaw.pl



Wystarczy już tej zimy...

Mogą powiedzieć górcy ratownicy. Takich „żniw” ratowniczych dawno nie było w polskich górach. Tymczasem nad głową przelatują klucze gęsi, żurawie, z dróg rowerowych sprzątnięto zimowy piasek, na stacje „roweru miejskiego” wróciły rowery, a i przyszkolne parkingi w moim mieście zapełniają się rowerami. Czy oznacza to definitywny koniec zimy? Bardzo możliwe, stąd pokusa podsumowania sezonu zimowego w zakresie wypadków i ratownictwa w górach.

Miniona zima była może nieco skromniejsza, jeśli chodzi o spektakularne akcje, takie jak słynna wyprawa babiogórska po bielskich turystów w ubiegłym sezonie czy w Bieszczadach po uczestników „obozu przetrwania”, ale i tak było „bogato”. Cztery akcje na Babiej w ciągu trzech dni, kiedy na szczyt wyruszali turyści niemogący sprostać bardzo trudnym warunkom to też niezły wynik. Turystów sprowadzano bądź znoszono lub zwożono z partii szczytowych, kilka osób trafiło do szpitala, dwie w ciężkim stanie z objawami wyczerpania i hipotermii. Zdarzył się także przypadek śmiertelny, a ofiarą był doświadczony górski biegacz. Najwyraźniej i jego kondycja, umiejętności i doświadczenie okazały się niewystarczające. Nie chcę oceniać tego biegacza, ale wydaje mi się, że pewna granica została przekroczona. Nawet biorąc pod uwagę, że ów człowiek uprawiał sport z gatunku ekstremalnych, uważam, że zabrakło rozsądku. Jeśli prawdą jest, że tragedia rozegrała się w rejonie Perci Akademików na stromym i oblodzonym (jak mówili goprowcy) zboczach, to można ocenić, że wybieranie się w ten rejon w sportowym, acz odpowiednim dla tej dyscypliny sportu stroju, nie zaś w ubiorze i obuwiu do turystyki wysokogórskiej (bo tego wymaga zimą Perć Akademików), to działanie nierozważne. I jest to ocena delikatna, rzekłbym dyplomatyczna. Nie znam się na biegach górskich, ani letnich, ani zimowych, ale z wieloletniego doświadczenia wiem, że na stromym zboczach, oblodzonym lub pokrytym twardym śniegiem wszystko jest OK do chwili, gdy nie straci się przyczepności do podłoża. Inaczej mówiąc, każde poślizgnięcie w takich warunkach grozi upadkiem, lotem po zboczach i wszelkimi tego konsekwencjami. W najlepszym przypadku są to otarcia, potłuczenia i rany powierzchowne, najczęściej jednak taki lot, choćby kilkudziesięciometrowy, skutkuje ciężkimi obrażeniami wewnętrznymi, uderzeniem głową o kamień, skalny występ czy nawet grudę lodu i w efekcie śmierć. Poruszanie się biegiem (!?) w takim terenie w sportowym, nawet przystosowanym odpowiednio obuwiu wymaga niesamowitej koncentracji, a ułamek sekundy może decydować o życiu. Żadne buty biegowe, nawet z kolcami, to nie są raki, choćby entuzjaści tego sportu twierdzili coś innego. Jednocześnie jako prawdopodobną przyczynę śmierci podano zawał serca. Okazuje się, że i wysportowanych ludzi z żelazną kondycją, kontrolujących stan zdrowia, także dopadają zawały i wylewy. Zostawmy jednak ten szczególny przypadek, a odpowiednie wnioski niech wyciągną uprawiający zimowe biegi górskie.

W Beskidach nie brakowało, tradycyjnych rzecz można, wypraw poszukiwawczych po zagubionych turystach, często nieradzących sobie z warunkami na szlakach. Głęboki śnieg, mgła, silny wiatr i trudności orientacyjne powodowały, że na brak zajęcia ratownicy nie narzekali. Niestety, wiele osób nie zdaje sobie sprawy, jak potrafi ogłupić turystę biel śniegu połączona z bielą mgły (chmury). Na otwartym terenie, np. na szerokiej przełęczy, gdy nie widać żadnych śladów, żadnej ścieżki i żadnego znaku, często dochodzi do zgubienia drogi, stracenia orientacji. Właśnie takich przypadków było sporo tej zimy w Beskidach. Zgubić się można było nawet na tak, wydawałoby się, łatwym orientacyjnie szlaku, jak czerwony Główny Szlak Beskidzki w Gorcach. Przecież tam ścieżka niby sama prowadzi, jednak nie wszędzie. Między Studzionkami a Przełęczą mocno „kręci” omijając liczne powalone drzewa. Latem nie jest łatwo, a co dopiero zimą w śniegu. No i ratownicy mieli co robić: *Szczerze zakończyła się (...) wyprawa po czteroosobową grupę, która w godzinach wieczornych zagubiła szlak czerwony w kierunku Przełęczy Knurowskiej i znalazła się głęboko w rejonie Żubrowiska. Ratownicy dzięki aplikacji telefonicznej RATUNEK szybko dotarli do zagubionych i torując drogę wyprowadzili ich do schroniska na Turbaczu i z ewakuowali do Nowego Targu.* – to ze strony Grupy Podhalańskiej GOPR. Oto opis innego „klasycznego” przypadku: *O godzinie 16:45 stacja na Hali Miziowej została poinformowana o zaginięciu w okolicach zielonego szlaku z Hali Lipowskiej na Halę*

Boraczą, trójki turystów. Turysty, którzy wyszli ze schroniska na Hali Lipowskiej w godzinach popołudniowych, nie mogąc odnaleźć zielonego szlaku postanowili wezwać pomoc. Ratownicy dyżurni stacji ratunkowej na Hali Miziowej w trójkę udali się w kierunku Hali Lipowskiej dwoma skuterami, gdzie po około godzinie rozdzielili się tak aby jeden patrol na nartach mógł patrolować szlak zielony od góry, a patrol na dwóch skuterach mógł sprawdzać szlak zielony od strony Hali Boraczej. Patrol skitourowy odnalazł ślady poszkodowanych i po około godzinie dotarł do nich. (...) Akcja zakończyła się około godziny 21:00. Warunki były bardzo trudne, a szlak nieprzetarty. – podaje strona Grupy Beskidzkiej GOPR. Przytaczam te opisy, by przypomnieć, że łatwe latem szlaki zimą mogą sprawić wiele kłopotów, o czym czasem, a może często, zapominamy. Planując przejście jakiegoś szlaku zimą trzeba przewodnikowy czas przejścia pomnożyć przez dwa. Otrzymamy wtedy teoretycznie **minimalny czas przejścia w dogodnych** warunkach zimowych. Każda niekorzystna zmiana pogody, nieprzetarty szlak, opad śniegu i wiatr wydłużają ten czas nawet trzykrotnie. Często warunki uniemożliwiają wędrówkę, a mimo to ludzie pchają się uparcie brodząc w śniegu za kolana... a czas leci, robi się ciemno, zacierają się znaki szlaku, potem już nic nie widać, no i mamy „paszтет”. Czy wszyscy o tym pamiętamy? Może się trafić i tak, że od ostatniego opadu śniegu minęły dwa – trzy tygodnie, mróz i wiatr ubiły śnieg na beton i idzie się, jak po chodniku, jednak taki luksus nieczęsto się zdarza. To wszystko dla przypomnienia, bo wysoko w górach jeszcze zima i pewno jeszcze wielu turystów zechce zmierzyć się z górami w kwietniu. Można w tym czasie spotkać głęboki, mokry, „przepadający” śnieg, ale także zalodzone polacie, tzw. „szklane góry”, np. w Bieszczadach i na Babiej Górze.



Turystyka narciarska to ciekawa i bezpieczna forma obcowania z górami nawet we mgle, ale uważać trzeba

Ratownicy w Tatrach także nie próżnowali. Zgubienie drogi, brak światła, trudne warunki, poślizgnięcia i wreszcie lawiny zebrały swoje żniwo. Tylko jednego dnia w trzech wypadkach lawinowych poszkodowanych zostało kilka osób, były ofiary śmiertelne. Dość długo utrzymywała się w Tatrach lawinowa „3”, a to już poważne zagrożenie lawinami mogącymi schodzić samoistnie. Oprócz ciężkich przypadków ratownicy udzielali pomocy w kilkudziesięciu lżejszych: bolesne upadki, kontuzje nóg, uderzenia głową o twarde podłoże na skutek poślizgu, liczne akcje poszukiwawcze i sprowadzanie turystów w bezpieczne miejsce – ot, chleb codzienny TOPR. Zagrożenie lawinowe poza Tatrami mieściło się w granicach „1” i „2” w Bieszczadach, czasowo „3” na Babiej Górze i w Karkonoszach, krótko po intensywnych opadach śniegu. Nie odnotowano tam wypadków lawinowych.

Choć trudno nazwać turystyką (wbrew różnym opiniom) narciarstwo zjazdowe, warto odnotować rekordową ilość interwencji przy wypadkach narciarskich. Tylko w okresie ferii zimowych, czyli od 17. stycznia do 28. lutego udzielono pomocy 1250 osobom korzystającym z ośrodków narciarskich na Podtatrzu. To wzrost prawie o 30% w porównaniu do ubiegłorocznych ferii (971). Ratownicy tłumaczą tę ilość wypadków narciarskich długimi okresami z dobrą pogodą i równie dobrymi warunkami śniegowymi na stokach, co za tym idzie – znacznie większą ilością narciarzy. Na pocieszenia dodam, że coraz liczniejsi są w polskich górach narciarze-turyści. Wędrują i biegają na śladowkach, biegówkach i nartach skitourowych. Znacznie rzadziej ulegają ciężkim kontuzjom, choć niegroźne upadki zdarzają się każdemu. Jednak nie „poprawiają” statystyk interwencji ratowników i ortopedów.

Niech to krótkie podsumowanie zimowego sezonu skłoni do refleksji i sprawi, że choćby przez chwilę zastanowimy się przed kolejnym zimowym wyjazdem w góry, czy jesteśmy do niego przygotowani sprzętowo i mentalnie, czy potrafimy sobie **wyobrazić**, co może czekać na nas na szlakach. Tych pozornie łatwych i tych trudniejszych. **Wyobraźnia** może nas uchronić od niepotrzebnych przygód i emocji.

Juliusz Wystouch

Problemy kolekcjonerstwa?

W ostatnim okresie kolekcjonerstwo jest mniej widoczne, stało się kolekcjonerstwem gabinetowym, zbiory przechowywane są w szufladach. A przecież podstawową zasadą kolekcjonerstwa krajoznawczego jest jego upowszechnianie na pokazach i wystawach. Na imprezach krajoznawczych, a także podczas CZAK-ów bardzo rzadko można zobaczyć prezentacje zbiorów. Powodem tego jest problem zabezpieczenia kolekcji przez organizatorów, a kolekcjonerzy napotykać też trudności w transportowaniu zbiorów. Innym bardzo ważnym problemem jest brak zainteresowań kolekcjonerskich wśród młodego pokolenia. A więc jak trafić, z czym wyjść do młodzieży? To jest właśnie wyzwanie dla kolekcjonerów. Myślę, że w rozwiązanie tych problemów włączy się społeczność naszego Towarzystwa, a krajoznawcy w szczególności.

Powyższy tekst Wojciecha Kowalskiego pochodzi ze styczniowego numeru „Na kolekcjonerskim szlaku” www.na-szlaku.net/?styczen-2015,333. A co Ty na to? Zapisz swoje uwagi poniżej i wyślij na adres henrykpttk@gmail.com lub poczta@opole.rpk.pttk.pl.

Poniżej pierwszy odważny:

Henryk Hadasz 2015.02.13

Witajcie Henryku i Wojciechu!

Tekst kol. Wojciecha Kowalskiego już czytałem w miesiącu styczniu. Kolega Wojciech trafnie podał przyczyny, dlaczego kolekcjonerstwo w naszym Towarzystwie nie jest rozpowszechnione – zabezpieczenie, transport oraz mniejsze zainteresowanie. Ja bym jeszcze dołożył dwie przyczyny: trudności w zdobywaniu odznak kolekcjonerskich (komu zgłosić i jak uzyskać odznaki) oraz trudności młodzieży w zdobywaniu pracy zgodnie ze swoim zamiłowaniem. Żeby przyznać punkty, Komisja Krajoznawcza (Kolekcjonerska) potrzebuje, a nie ma, pieniędzy, aby odwiedzić kolekcjonera, aby zapoznać się ze zbiorami i wypełnić zaświadczenie o przyznanych punktach. Nawet brak pieniędzy, aby Komisje mogły się zebrać raz na kwartał na swoje zebrania. W ostatnim numerze „Echa leśne” jest artykuł o młodym fotografie ptaków M. Piesiak, który zdobył wiele nagród międzynarodowych za swoje zdjęcia. Niestety, z ornitologii nie utrzymuje rodziny. Wczoraj Teresa rozmawiała z jego ojcem. Syn kończy 18 lat i zamiast studiować przyrodę, pójdzie na politechnikę. Teraz są inne czasy, aby rozwinąć swoje hobby, trzeba mieć nie tylko zainteresowanie, ale miejsce na utrzymanie kolekcji oraz dużo pieniędzy. W perspektywie na ogół po śmierci kolekcjonera zbiór wylądować na śmietniku. W tym roku ukończę 80 lat życia. Nie wiadomo, ile lat jeszcze przeżyję, kto przejmie moje zbiory?

Pozdrawiam – Henryk



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Rocznik Jeleniogórski 2014

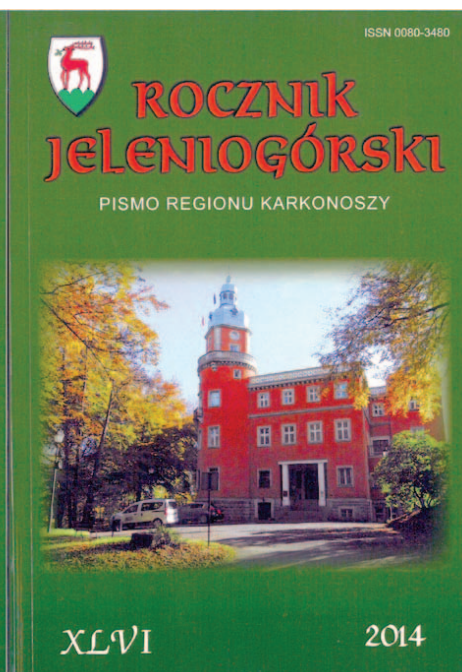
Ukazał się kolejny tom *Rocznika Jeleniogórskiego*. *Pismo regionu Karkonoszy*, jakim jest *Rocznik*, wydawane jest niezmiennie od półwiecza przez Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry. Nad doborem tekstów czuwa zespół redakcyjny prowadzony przez Ivona Łaborewicza. Aby jednak tak obszerna publikacja trafiła do rąk czytelników, musi być dofinansowana. W tym wypadku finansowo wsparło *Rocznik* Miasto Jelenia Góra.

Zawartość nowego *Rocznika* dochodzi do 300 stron. Zamieszczono w nim wiele ciekawych artykułów. Kilka z nich

dotyczy archeologii. Opisano w nich wyniki badań przeprowadzonych na terenie zespołu poklasztorowego w Jeleniej Górze – Cieplicach czy na terenie drugiej szubienicy, jaka istniała na terenie miasta. Doczekaliśmy się pełnego opisu dziejów Paulinum i prac renowacyjnych, jakie przeprowadzono w kościele p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego (kościół Łaski) oraz znajdujących się wokół niego kaplic grobowych. Zapewne artykuł o mordzie w Maciejowej wywoła żywą dyskusję. Sposób bowiem przedstawienia tej tragedii zaprezentowany w Książnicy Karkonoskiej wywołał wiele kontrowersji. Ale to dobrze. Temat będzie się rozwijał. Ciekawym z poruszonych tematów jest cyfrowa wizualizacja zabytków. Temat ten wywołuje nie mniejsze zainteresowanie jak poprzedni. Dobrze się stało, że poruszono sprawę funkcjonowania w Jeleniej Górze biblioteki cyfrowej. Nie każdy bowiem zdaje sobie sprawę, jak ważna jest to sprawa. Rola takiej biblioteki w dziele zachowania w pamięci dokumentów związanych bezpośrednio z życiem społeczeństwa jest przecież nie do przecenienia.

Bardzo ciekawym pomysłem jest zamieszczenie w oddzielnym rozdziale wydarzeń kulturalnych i turystycznych, jakie miały miejsce w zeszłym roku. I nie chodzi tu o sam fakt ich zamieszczenia. Ciekawa jest poszerzona forma ich prezentacji. Dochodzi wiele głosów wyrażających zadowolenie z takiej formy. Jak zwykle, przedstawiona została kronika wydarzeń, jakie miały miejsce w 2013 r. Dobrze też się stało, że przypomniano sylwetkę Tadeusza Różewicza, człowieka związanego z regionem, poety, ale przede wszystkim człowieka zakochanego w „Górach Olbrzymich”. Tadeusz Różewicz niejednokrotnie pokazywał w swoich utworach, jak można być zauroczonym „kawalkiem ziemi”. On był. Był zauroczony do tego stopnia, że jego prochy, zgodnie z jego wolą, złożono na cmentarzu przy kościółku Wang w Karpaczu.

W 2014 r. oprócz *Rocznika* ukazał się także suplement, w którym przypomniano podróż turysty, wrocławskiego polskiego studenta – anonimowego Jana z Jasiénca, w 1840 r. do Karkonoszy. Wcześniej był przedstawiany podczas *Sympozjum sudeckiego* zorganizowanego przez PTTK w Książnicy Karkonoskiej.



Krzysztof Tęcza

Herbatka z Sudetów

Strudzeni turyści podczas górskich wędrówek często marzą o ciepłej herbacie, szczególnie gdy zapasy w termosie się skończyły, w pobliżu nie ma schroniska i panują niskie temperatury, których – mimo ocieplenia klimatu, w górach nadal nie brakuje. Właśnie o takim turyście opowiada teledysk do utworu Michała Ficka (DMNSound) ze Ściegien pt. „Dubsteppin’ tea from Sudetes”.

Muzykę M. Ficka z powodzeniem można nazwać „sudeckim dubstepem”. Sam dubstep jest odmia-



ną muzyki elektronicznej, która swoje korzenie ma w Londynie końca XX w. Starszym osobom momentami może kojarzyć się z wgrzaniem gier komputerowych, dostępnych na początku lat 90. na kasetach na takie komputery, jak Commodore C64. Zdjęcia do teledysku pochodzą z zimowych wypraw górskich z lat 2010-2015. W niektórych z wycieczek uczestniczył również twórca muzyki dubstep. Główna część wideoklipu (z piciem herbaty) została nakręcona w zakończonym właśnie sezonie (26.01.2015). Na teledysku uwieczniono krajobrazy z punków widokowych, m.in. na Skalniku (Ostra Mała), Kowarskiej Skale czy Wołowej Górze. Widać z nich Karkonosze, Góry Izerskie, Rudawy Janowickie, Góry Kaczawskie i Kotlinę Jeleniogórską. Teledysk dostępny jest pod adresem www.youtube.com/watch?v=xGzJiUo3bbQ.

Zbigniew Piepiora

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Anna Zygm**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński,**
Andrzej Rumiński

Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wyślouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931